

Cztery portrety

Wilek Markiewicz

Przeglądając ostatnio moje stare prace przywiezione z Europy, powróciły mi wspomnienia związane z niektórymi portretami. Może będzie kiedyś okazja by je pokazać na retrospektywnej wystawie, w każdym razie historia ich wydaje mi się dość ciekawą, aby jej nie zatrzymywać tylko dla siebie.

Wilek Markiewicz, torontoński artysta, zmarł w listopadzie 2014 r. w Toronto.

Janek (rysunek)



Wilek Markiewicz, Janek

Niestety, nie mogę podać jego nazwiska, choć – jak czytelnicy zmiarkują – ma ono swe znaczenie w historii. Janek urodził się bądź w Westfalii, jak jego rodzice, bądź we Francji. Miał w sobie trochę krwi niemieckiej, nie wiem, czy po mieczu, czy po kądzieli. Po polsku mówił poprawnie, po francusku, jak Francuz. Podczas wojny miał ok. 9 lat. Ojciec oddał go do Hitlerjugend. Poznałem ojca, przemiły pan, co widocznie jedno z drugim nie

ma nic wspólnego. Janek opowiadał mi jak smarkacze w jego wieku zarabali się na śmierć szablami w pojedynku. Miał twardą szkołę w Hitlerjugend. Nie afiszował się tym zbytnio i prosił mnie o dyskrecję, którą utrzymuję... Był gorącym polskim patriotą i raz, podczas dyskusji z kolegami na temat europejskiego federalizmu, perorował: „Sobieski był federalistą?! Bolesław Chrobry był federalistą?! Federalizmy to żydowskie wymysły!”

Pomimo oznak twardości i zdziczenia Janek był sentymentalny. Ja byłem jednym z niewielu, który zdawał sobie z tego sprawę i może dlatego byliśmy przyjaciółmi. Janek kochał dziewczęta z wzajemnością. Opowiadał mi, jak najbardziej sofistykowane kobiety stawały się ladacznicami u niego w łóżku i wierzyłem mu, bo Janek nie miał imaginacji. Związał się z bardzo ładną Francuzką, ona mu pomagała finansowo, gdy coś tam studiował, później pobrali się. Przyszła wojna w Algierii i Janek został zmobilizowany. Opowiadał mi jak różnili Arabów i mogę sobie wyobrazić Janka w akcji.

Gdy go spotkałem już po wojnie, całe jego życie zaczęło spadać ostrą krzywą w dół i chyba się już nigdy nie podniosło. Podczas jego pobytu na froncie żona go opuściła. Nie mogę jej potępiać nie znając faktów. Janek mógł być niemożliwym do współżycia. Wróciwszy do domu w poszarganym uniformie znalazł mieszkanie zamknięte na kłódkę i musiał iść spać do hotelu. Zdaje się, że był ranny i schorowany. Z armii pozostały mu

czarne wspomnienia. Ktoś zrobił z niego Żyda, że jego nazwisko brzmi jak Mojżesz! Żałuję, że nie mogę zacytować jego nazwiska, aby się czytelnicy przekonali, jaki to absurd. W każdym razie Janek z Hitlerjugent i z mordą SS-mana zbierał cięgi za żydostwo. Nie pytałem się, kto mu ten kawał wyrządził: Polak, Francuz czy Niemiec – armia francuska jest wielokulturową, jak Toronto. Nie zajmowałem się wtedy tymi sprawami. Ubawiło mnie tylko to, że z nim służył autentyczny Żyd, sąsiad jego rodziców. Obie matki przyjaźniły się i obie płakały nad losem swoich synów.

Straciłem z nim kontakt i gdy go ujrzałem po roku zmiarkowałem, że się chyba nie pozbierał ze swych przeżyć. Chodził po ulicy nocą w towarzystwie obwiesiów, sam jakby pod wpływem narkotyków czy alkoholu. Był w wisielczym humorze. Czułem, że nie mamy ze sobą nic więcej wspólnego, że ani on mnie nie potrzebuje, ani ja dla niego nic nie mogę zrobić – i pozostałem niezauważony.

Esteban czyli Stefan (olej)



Wilek Markiewicz, Esteban

Esteban jest Hiszpanem, z matki Katalonki, ojca Andaluzyjczyka. On sam wychowany w katalońskim miasteczku, przybył z Barcelony do Paryża ze snami glorii dziennikarskiej, jako wysłannik tamtejszego pisma ilustrowanego. Posiadał wielką wrażliwość pisarską, lecz do osiągnięcia sukcesu brakowało mu trzech podstawowych rzeczy: 1) inteligencji, 2) wykształcenia, 3) pieniędzy. W Barcelonie, w swym piśmie posiadał rubrykę a la „Dear Abby”, z której wywiązywał się na pewno nieźle, ponieważ

umiał wniknąć w sytuację z życia i miał religijną moralność do przyjęcia przez ogół. Lecz zachciało mu się szerokich wód i oto znalazł się w Paryżu. Jego rolą miały być wywiady z rozmaitymi „gwiazdami” piosenkarstwa i telewizji. Lecz nie znał jeszcze zbyt dobrze francuskiego. Dał mi do przeczytania swe krótkie historie, z których jedna zrobiła na mnie głębokie wrażenie. Mowa tam o młodym malarzu, który pod wpływem konfliktu opuścił swój dom rodzinny i miasteczko, i wylądował z mizerną sumą pieniędzy w Barcelonie. Na rogu ulicy zobaczył młodą pociągającą prostytutkę i z młodzieńczą beztroską postanowił wydać na nią ostatni grosz. W hoteliku weszli w przyjacielską rozmowę i opowiedział jej swą historię. Ona mu rzekła: „Moja historia jest nieco podobna do twojej, tylko dla mnie jest już za późno. Wracaj do domu, do ojca i matki, nim moloch miasta nie pochłonie i ciebie”.

Było to tak ciepło opowiedziane i takim prostym językiem, że wczułem się w sytuację, jakbym był przy tym. Powiedziałem Estebanowi: „Jestem zachwycony, ty jesteś hiszpańskim Balzakiem od prostych spraw. Oto czego nie powinienem mu być powiedzieć. Uraziłem go, że nie potrafi pisać o niezwykłych sprawach i zaczął wypisywać jakieś szmiry o miłości i mordach a la „soap opera” i nie rozumiał dlaczego mi się to nie podoba. Prawdopodobnie posądzał mnie o zazdrość.

Historia Estebana jest niestety również historią upadku, choć

walczył z podziwu godną wytrzymałością. Właściwie młodość pozwoliła mu przetrwać. Srogą zimą paryską, która jest zimniejsza od torontońskiej, tyle że bez śniegu, wychodził późnym wieczorem ode mnie – nie wiedziałem dlaczego, z tak krzywą miną. Otóż spędzał noce pod gołym niebem, w jakimś cieplejszym kanale wydechowym między włóczęgami i degeneratami. Tajemnicę umiał zatrzymać dla siebie. Moja żona mawiała: „Dlaczego Esteban tak śmierdzi – nie zmienia odzieży, czy co?”. Raz go spotkała na ulicy w tym stanie i powiedziała mu: „Esteban, albo się pozbierasz, albo wracasz do Hiszpanii”. Był u nas parę dni, po czym znalazł pracę i pomieszczenie. Został sprzątaczem w jakiejś publicznej pływalni. Pomimo, że otrzymywał z początku ciepłe listy z redakcji, utracił w końcu kontakt ze swoim pismem. Przechodził przez życie wciąż ze swym chaplinowskim uśmieszkiem, lecz nie był to już ten sam Esteban. Stał się brzydkim cynikiem, przypuszczalnie bez dawnej religijności i moralności, co dla człowieka prostego może być bardzo niebezpieczne. Twierdził, że jest zadowolony i przypuszczalnie był nim. Mawiał: „Gdyby mi zaofiarowano redaktorską pozycję w Buenos Aires, powiedziałbym, by ją sobie zatrzymali dla siebie”. Twierdził, że nie chce utracić kontaktu z Europą, lecz czym była dla niego ta Europa? Późną nocą, po pracy zupa cebulowa w paryskich Halach, później – gdy akurat nie miał kochanki – prostytutka. Bez wstępu i z odrobiną ciekawości, opowiadał mi o rozmaitych propozycjach, które otrzymywał przy pracy w pływalni. „Esteban, na miłość boską,

trzymaj się z daleka” – mówiłem mu. Z zagadkowym uśmieszkiem przyjmował, co by mu nie powiedziano. Ponoć wyjechał do Hiszpanii z uciulaną gotówką i ożenił się. Nie wiem, co się z nim stało, jako że nasza przyjaźń się zerwała, z przyczyn nie należących do tematu.

Carol (pastel olejny)



Wilek Markiewicz, Carol

Poznałem ją w Paryżu, gdzie pracowała jako służąca. Pochodziła z chłopskiej rodziny z okolicy Burgos (płn. Hiszpania). Została wówczas sierotą i ojciec z macochą traktowali ją całkiem nie po ludzku. W wieku lat 5-ciu oddali ją do klasztoru. Tam też nie traktowano ją poprzez jedwabne rękawiczki, po prostu Hiszpania była twardym krajem, gdzie najsilniejsi przeżywali. Już w wieku 5-ciu lat Carol szorowała klasztorne podłogi i prała odzież od samego świtu, do późnej nocy. Stała na krześle z nałożonymi belkami, żeby móc dosięgnąć balii. Matka przełożona zorientowała się co do bystrości Carol i mawiała: „Ty się ucz, a przerośniesz i swą kondycję i innych”. Dzięki pomocy przełożonej i własnych, wcześniej rozbudzonych ambicji, Carol nauczyła się wiele, w warunkach, gdy inne pozostały analfabetkami. W czasie wojny domowej, Burgos było miejscem koszarowym dla Niemców i Włochów, którym się podobała ta mała blondyneczka i obdarowywali ją czekoladkami. Jedni z niewielu, którzy okazali jej trochę życzliwości – prócz przełożonej. Pozostawiła po nich wdzięczne wspomnienie – plus faszyzm. To ostatnie jej później przeszło, ale o tym zaraz. Nie wyrosła i prawdopodobnie skutkiem zaburzeń hormonalnych, wywołanych trudem i niedożywieniem, twarz jej została wydłużoną. Słowem była bardzo brzydka, mimo żywych jasnych oczu i blond włosów. Pracę mogła otrzymać tylko jako służąca i chłopcy parskali na nią. Jako dobra Hiszpanka i w instynkcie samoobrony zrobiła się kąśliwa jak osa i agresywna jak pantera. Ponieważ klasztor był jej jedynym domem, a przełożona jedyną matką, nie opuszczała

niedzielnej mszy, lecz nie była bigotką. Jej podejście do życia było po hiszpańsku pragmatyczne. Na pewno miała kochanków, choć nie interesowałem się jej prywatnym życiem. Jednego poznałem, był to Chorwat, który przypuszczalnie by się z nią ożenił, lecz jej brzydota przewyciężyła jej wszystkie niepospolite zalety. Rozstali się jak pies i kot. Carol była maleńka, ale nie obawiała się ni diabła. Cokolwiek zaszło, on utracił parę piór.

Opuściła Paryż z pieniędzmi, które jej pozostały i osiedliła się w Madrycie. I teraz zaczyna się dla nas najciekawszy rozdział jej życia. W wieku ponad 50-ciu lat Carol ukończyła doktorat z literatury francuskiej na uniwersytecie w Madrycie. Wiedziałem, że uczęszczała od czasu do czasu na Sorbonę, lecz nie sądziłem, że jest w tym coś poważnego. W tym też okresie utraciła swój faszyzm.

Z Carol nie mam kontaktu z własnej winy. Carol była przyjaciółką mojej żony i mnie oddaną jak siostra, choć ja z niecierpliwością znosiłem ten „babiniec”. Lecz na pewno pamięta mnie, jak ja ją. Carol żyje z kimś obecnie, prawdopodobnie odseparowanym (nie wiem, czy już istnieją rozwody w Hiszpanii). On ją nosi na rękach. Człowiek prosty umie, jak wszyscy Hiszpanie ocenić czyjąś wyższość.

Włodek (rysunek)



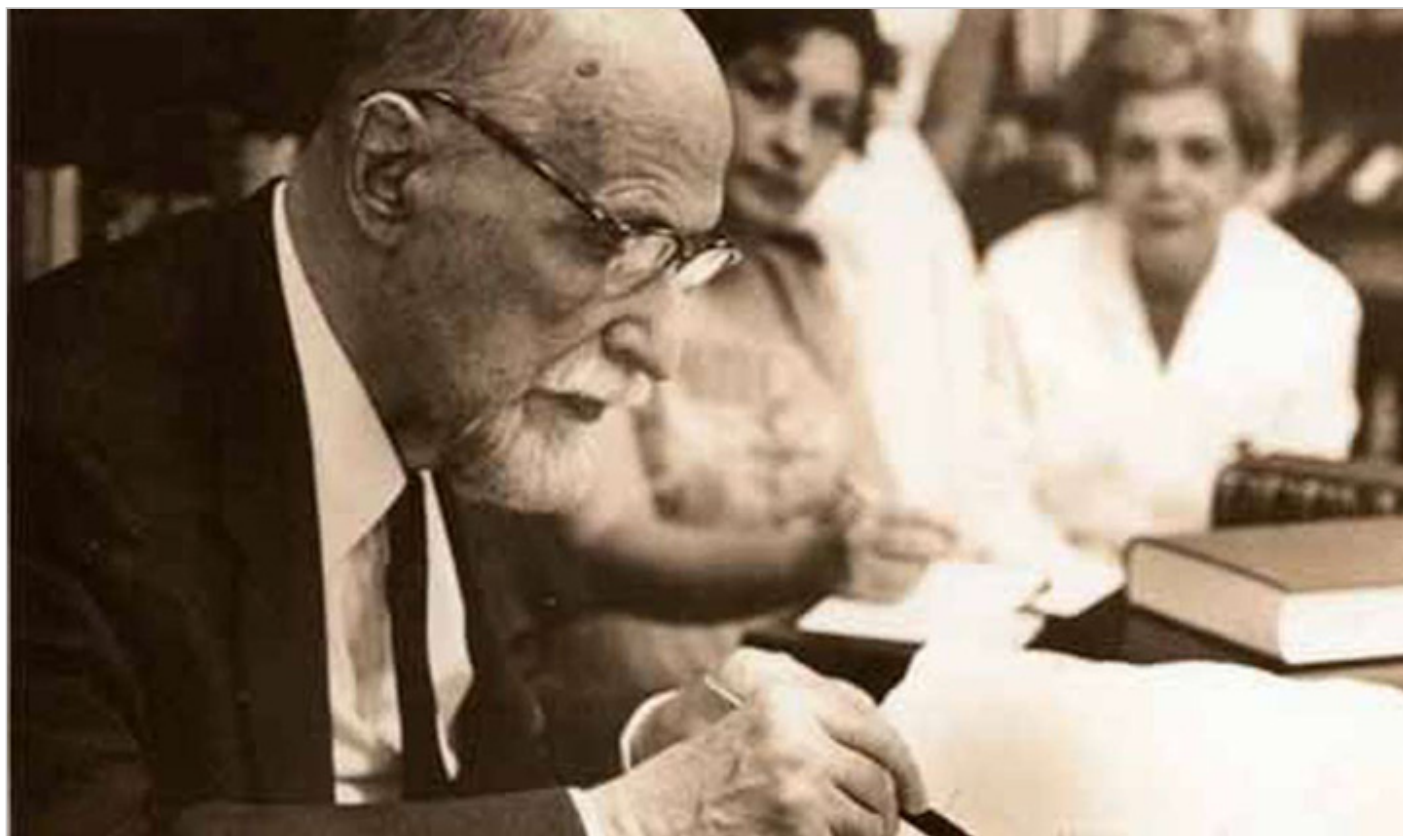
Wilek Markiewicz, Włodek

Włodek urodził się przed wojną w polskim więzieniu. Matka – Żydówka, była aktywną komunistką i nazwała syna od Lenina. Ojciec, prawdopodobnie również Żyd, zginął podczas jakiejś akcji bojowej przed, czy podczas wojny. Rosjanie, gdy weszli do Polski

wywieźli ją z dzieckiem do Azji Centralnej i tam przestała być komunistką. Z zawodu była pielęgniarzką i gdy protestowała, że Uzbeków i Kozaków się szczepi tą samą igłą, otrzymała odpowiedź: „Eto zwieria (to są zwierzęta), nic im się nie stanie”. Napisała protest do Moskwy i zawezwano ją: „twym protestem wymyliśmy okna, zamknij gębę, albo pójdiesz skąd się nie wraca”.

Zamieszkali w Paryżu, matka zagorzała antykomunistka, zaś syn - trockista. Przychodził pokrwawiony z ulicznych bijatyk. Posiadał wybitny talent malarski, lecz między ideologią i matką, która chciała natychmiast skapitalizować jego prace, nic z tego nie wyszło. Nawet grupa francuskich arystokratów zainteresowała się jego talentem i finansowała go przez jakiś czas. Lecz nie mieli pojęcia o sztuce i wszystko rozbiło się - o politykę. Włodek wegetował, wysoki i chudy wyglądał na Don Kichota. Bez kondycji fizycznej, ani silnego charakteru, nie wiem, co się z nim stało. Bez konkretnego powodu, nie mam dobrego przeczucia.

Śladami Srebronia: Juan Ramón Jiménez (1881-1958).



Juan Ramón Jiménez (1881-1958)

Nazwisko Juana Ramóna Jimeneza usłyszałem po raz pierwszy na lekcjach literatury hiszpańskiej w irlandzkim mieście Cork, gdzie rozpoczynałem studia humanistyczne po demobilizacji najpierw z I Korpusu, a później z Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia w 1947 roku. Uniwersytet oferował, egzotyczny wtedy dla mnie język hiszpański. Język piękny i łudząco prosty tak jak jego literatura, jak poetyckie opowiadania o srebrnej maści osiołka, towarzyszu chorowitego poety. A skoro był srebrzysty, to po hiszpańsku Platero. Srebroń, jak go po polsku przezwali pamiętający Leśmiana Józef Łobodowski. Trudno było o bardziej stosowny polski odpowiednik. Srebroń.

Jego twórca urodził się w bielutkim, słonecznym andaluzyjskim miasteczku Moguer wśród pól, winnic i lasów. Opodal leży miejscowość Palos, gdzie na polecenie królowej Izabelli zbudowano karawele, które pod wodzą Kolumba wypłynęły w poszukiwanie drogi do Indii. Pochodzący z Moguer jego zastępca i odkrywca ujścia Amazonki, Vicente Pinzón, w lokalnym, stojącym do dziś klasztorze, dziękował potem za pomyślny wynik wyprawy.



Srebrny osiołek na drodze w Andaluzji.

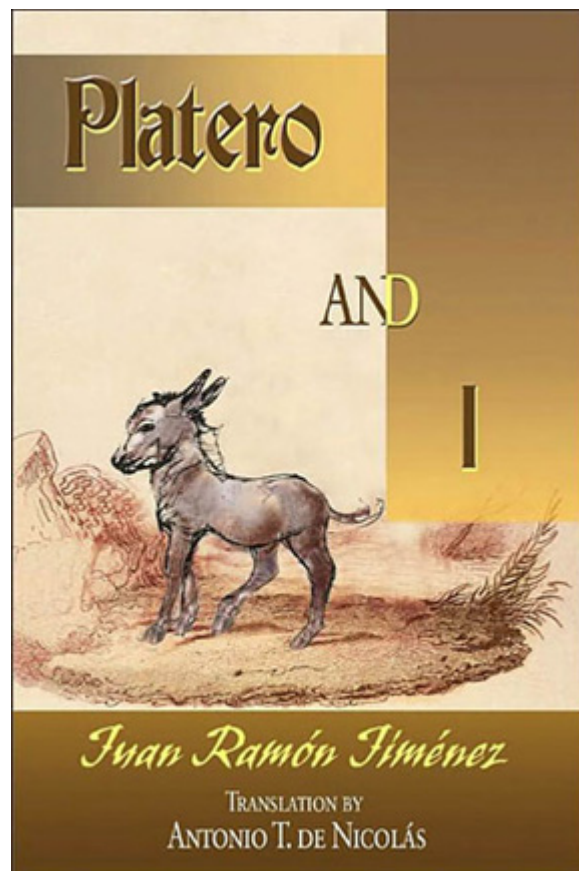
Do tej starożytnej miejscowości zwanej przez Arabów Almoguer pojechałem z Sewilli autobusem, wysiadłem w pobliskim San Juan, a na końcowy odcinek wprosiłem się na dwukołowy ciągniony przez muła wóz. Rytmiczne podskakiwanie pojazdu dawało dużo czasu, by dotrzeć do pojawiającego się na widnokręgu białego miasteczka godnie i w należnym skupieniu.

Były dom poety stał się jego muzeum. Wmurowana tablica głosi jego historię: „W tym domu - dziś muzeum - Juan Ramón

Jiménez przemarzył wszystkie sny dzieciństwa i młodości. Tu jego pamięć znalazła przychylne schronienie”.

Ten dawny dom poety to nie tylko muzeum, ale również biblioteka publiczna. Kto będzie jednak czytał w skwarne lata, a w takich porach spędziłem w Moguer moje trzy wizyty. Byłem więc zazwyczaj jedynym gościem i zaprzyjaźniłem się z dyrektorem, kuzynem pisarza. To dzięki jego uprzejmości pojechałem do lasu, by zobaczyć jeszcze szczątki wielkiej sosny uwiecznionej w poetyckiej prozie „Srebroń i ja”. Słynna sosna, „el pino de la corona”, sosna olbrzym, jak ją po polsku nazwałem, była widoczna z daleka, rzucała się w oczy swoim ogromem, była dostrzegalna z morza, królowała nad innymi drzewami. Ten symbol trwania, niestety, trafiony przez piorun leżał zwalony na ziemi, osmalony i połamany. Oglądałem jego mizериę jak drogą relikwię.

Pojechaliśmy również do letniej posiadłości Fuentepiñas jaśniejącej na horyzoncie. Obok bielonego budynku stała kopulasta sosna. To pod nią pogrzebano osiołka, którego poeta rozślawił w całym świecie. Nazwę słynnego miejsca nosił jeden z hoteli, w którym się zatrzymałem. Posiadam jeszcze rachunek, z którego wynika, że mój pokój kosztował mnie w połowie maja 1975 roku dwieście peset, a obiad 288.



Korzystając z okazji chciałem jak najwięcej trudności tekstu, który tłumaczyłem na język polski, rozwiązać na miejscu sądząc, że lokalni ludzie są najbardziej kompetentni, by je wyjaśnić. Nie zawsze odnosiłem sukces. Powiodło mi się z piekarzem. Jiménez napisał, że Moguer jest jak chleb. W piekarni trafiłem na osobę starszą, dumną ze swego rzemiosła i pochlebiało jej, że właśnie o zwyczaje wypieku i recepturę pytałem, a on wiedział i chętnie objaśniał. Bo współcześni już nie pamiętali tych wszystkich fachowych słów, które ja, cudzoziemiec, znałem. Kazał mi przyjść następnego dnia i zadał sobie trud, by ze specjalnie dla mnie zrobionego ciasta ulepić bochenki, już nie w modzie.

Mniej szczęścia miałem z nazwami ptaszków, które tropiłem poprzez ornitologiczne łacińskie terminy. Kiedy nie robiłem żadnych postępów, uśmiechnęło się do mnie szczęście, a przynajmniej tak sobie to tłumaczyłem. Otóż pod drzewami przy cmentarzu znalazłem martwego ptaszka, o którego mi chodziło. Zawinąwszy go w chusteczkę chodziłem po okolicznych domach i pytałem o nazwę. Zapytani jednogłośnie odpowiadali, że to ptak. Ale jaki ptak, pytałem niespeszony. „Pájaro pequeño”, mały ptaszek, odpowiadali niewinnie. Musiałem zrezygnować i uznać, że nieznajomość przyrody stała się nagminna, że trzeba było poszukać miłośnika i specjalistę, a dać spokój ludziom lokalnym.

Raz znalazłem się w Moguer w wigilię wyjazdu przystrojonych wozów w pielgrzymkę do niedalekiej miejscowości El Rocío, tak pięknie przez Jiménezza opisanych. Nie zaprzęgano już wołów, ich rolę przejęły muły, a strojne amazonki paradowały ożywionymi uliczkami na ślicznych koniach wśród palby broni i wystrzałów rac.



Juan Ramón Jiménez (1881-1958)

Odwiedziłem również słynną pustelnię, a z całą rodziną udałem się na grób poety i jego żony. Najmłodszy syn, Julek, złożył na

płycie wspólnego grobu polne kwiaty. Zmarły w Puerto Rico najśłynniejszy syn Moguer wyróżniony w 1956 roku literacką nagrodą Nobla, spoczął w końcu w swojej ziemi.

Kiedy pojechałem do miasteczka po raz trzeci, zobaczyłem zmiany, które wprowadziła nowa administracja z własnym jej pojęciem troski o kulturalne dziedzictwo. Zmieniono nazwy ulic. Dawna ulica „Nueva” przy której stoi dom Jiménezza przemianowano na ulicę Juana Ramona Jiménezza. Na to zgoda. Lecz po co z nastaniem nowych urzędników pozmieniano nazwy ulic utrwalonych na kartach „Srebronia i ja”? Ta zmiana spowodowała potrzebę umieszczenia dawnych nazw na drugim miejscu. Akcja ta ilustruje nieznośną potrzebę powierzchownych zmian przez nowych ludzi, których nie stać na czyny zasadnicze i gruntowne. Tak więc barwne kafelki z cytatami ze „Srebronia” wmurowane w różnych miejscach miasteczka są jakby na przekór temu najdoskonalszemu ze światów, przypominając rojenia poety, który widział raj tam, gdzie inni widzą codzienność, i cichego osiołka w miejscu, gdzie dziś pędzą rozjuszone samochody. Dawną idyllę zastąpił harmider i obojętność. Zeszecono placyk Rady Miejskiej, który zachował piękno XVIII wieku w postaci historycznego budynku magistratu z zegarem o pięćdziesięciu lukowymi galeriami na piętrze i parterze osłoniętych kratami z kutego żelaza. Trzy palmy, tuje i róże nie bardzo pasują do nowego pomnika Jiménezza wbudowanego w to historyczne, sielskie tło. Laureat Nobla siedzi sztywno za

czterema anemicznymi fontannami na tle dwu paneli płaskorzeźby. Po jednej stronie trzy alegoryczne postacie kobiet z osiołkiem, harfą i wawrzynem równoważą alegorię miłości z drugiej. Nad tą pomieszaną scenerią uganiały się jak dawniej chmary hałaśliwych jaskółek, jaśniała biel ścian, wieże wynosiły się nad dachy. Na jednej z nich bocianie gniazdo.

Historyczne tabliczki, że "tu mieszkała Aguedilla", „tu był placyk” wyglądały jak nagrobki, poetyckie „mane, tekel, fares” wskazujące marność tego świata i nieuniknione przemijanie rzeczy. Biedny poeta znalazł się najwyraźniej w bardzo wątpliwej gestii administratorów, urzędników od kultury, został uspołeczniony, zinstytucjonalizowany

Wracalem z trzeciej wyprawy do Moguer zawiedziony i rad, że autobus bardzo szybko wywiózł mnie w pola i sady. Z głośnika autobusu zabrzmiały rzewne skargi pątnika wracającego z pobliskiego El Rocío i zagłuszyły tłoczące się w moich myślach pytania. Głos śpiewaka zawodził: „Ślub mój wypełniłem”... A potem ciągnął dalej współbrzmiąc mojej rozterce: „*Ay, que me importa la muerte...* Co mi tam śmierć, skoro już nie mam nadziei. Całą noc opowiadałem o twojej zdradzie...”.

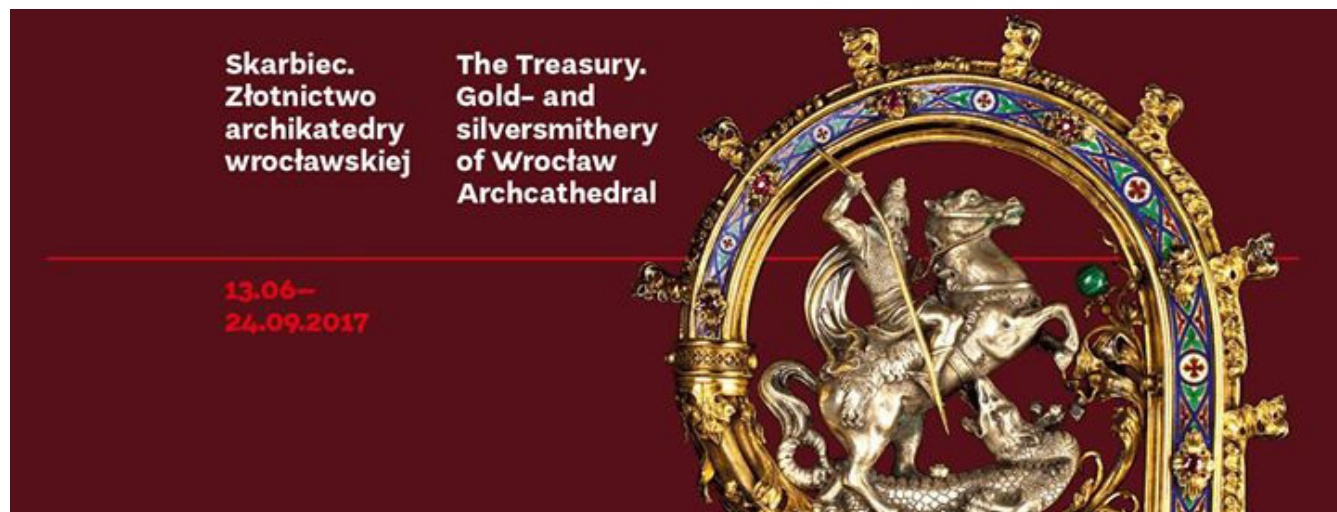
Ja również wracałem z pielgrzymki gnany starą miłością i jak każdy kochający, jechałem przygnębiony, niespełniony, nieuciszony, pełen smutku, którego nawet najsprawniejsze pióro

nie jest w stanie wysłować...

Niezwykła wystawa we wrocławskim Muzeum Narodowym

Barbara Lekarczyk-Cisek

Korespondencja z Polski



Od 13 czerwca do 24 września w Muzeum Narodowym we Wrocławiu można podziwiać prawdziwe skarby. Wystawa „Skarbiec. Złotnictwo Archikatedry Wrocławskiej” prezentuje najcenniejsze zabytki sztuki złotniczej, które po raz pierwszy można oglądać z tak bliska. Znajdują się wśród nich m.in. XVI-wieczny ołtarz główny Katedry Wrocławskiej, wspaniałe relikwiarze, figury świętych oraz olśniewające (dosłownie) monstrancje.

Kolekcja jednego z najbogatszych zasobów dawnego złotnictwa w tej części Europy nie tylko ocalała z wojennej pożogi, ale jeszcze została wzbogacona o liczne precjoza, przeniesione pod

koniec wojny do skarbca z licznych kościołów znajdujących się na terenie Ostrowa Tumskiego. Niektóre obiekty uległy rozproszeniu, jak słynny renesansowy ołtarzyk biskupa Johanna V Thurzona, trafił do oo. paulinów na Jasną Górę, ale możemy go oglądać w ramach tej ekspozycji.



Ołtarz główny Katedry, fot. materiały Muzeum Narodowego.

Co można zobaczyć na wystawie?

Otóż wyeksponowano ponad 80 wyrobów złotniczych, m.in. relikwiarze, monstrancje, figury, pastorały, kielichy, lampy wieczne i kadzielnice.

*Wśród wystawionych zabytków są dzieła „ikoniczne”, od wieków kojarzone z katedrą, jak relikwiarze św. Jana Chrzciciela – dzieło Caspara Pfistera z 1611 r. z przedstawieniem głowy św. Jana na misie i relikwiarz ręki świętego z 1512 r. – mówi **Jacek Witecki**, kurator wystawy. Są dzieła doskonałe artystycznie, np. kielich fundacji kanonika Johannes Hoffmanna, z 1501 r., który zachwyca maestrią emaliowanych plastycznych dekoracji, kielich biskupa Andreasa Jerina autorstwa Michaela Schneidera czy dzieła Paula i Fabiana Nitschów. Dopełnieniem ekspozycji są szaty i elementy stroju liturgicznego, m.in. ornat i pluwiak,*

wykonane przez wrocławskie siostry urszulanki w 1792 r. dla uświetnienia jubileuszu 500-lecia opactwa w Krzeszowie, buty biskupie z przełomu XVIII i XIX w. oraz ozdobne rękawiczki – elementy ubioru liturgicznego, które wyszły dziś z użycia i zobaczyć je można już tylko w zbiorach skarbcza.



Matka Boska Niepokalanie
Poczęta, Johann Klinge
1736, fot. B.-Lekarczyk-
Cisek.

Na szczególną uwagę zasługuje pełnowymiarowa rekonstrukcja słynnego srebrnego ołtarza głównego Katedry, z 1591 r. Został on zdemontowany pod koniec II wojny światowej, przed oblężeniem miasta i obecnie jest po raz pierwszy zademonstrowany po renowacji. Zaginęły wprowadzić srebrne blachy stanowiące tło, ale i tak prezentuje się wspaniale. Ołtarz ufundował biskup Andreas Jerin, a wykonali go dwaj renomowani artyści wrocławskiego manieryzmu: złotnik Paul Nitsch oraz malarz Bartholomaeus Fichtenberger. Od chwili jego poświęcenia, co miało miejsce 4 maja 1591 roku, ołtarz wart 10 tysięcy talarów, co było kwotą zawrotną jak na owe czasy, wzbudzał powszechny zachwyt swoją urodą, ale także podziw dla

hojności fundatora. Wykonany przez luterańskich artystów, stał się chlubą pierwszej katolickiej świątyni Śląska. Na wrocławskiej wystawie można sobie wyobrazić, jakie wrażenie robił ołtarz z pięknymi namalowanymi przez Fichtenbergera skrzydłami, dzięki multimedialnej ekspozycji. Skrzydła owe powróciły do Wrocławia, dzięki staraniom biskupa Bolesława Kominka i obecnie są eksponowane w Muzeum Archidiecezjalnym.

Na uwagę zasługują także liczne relikwiarze - prawdziwe arcydzieła sztuki złotniczej, różniące się od siebie kształtami i stylem wykonania. Są wśród nich m.in. relikwiarz św. Jana Chrzciciela, patrona Archikatedry - dzieło Caspara Pfistera, herma relikwiarzowa św. Wincentego Tobiasza Plackwitza z 1723 roku, relikwiarz św. Konstancji z 1. połowy XVIII wieku.



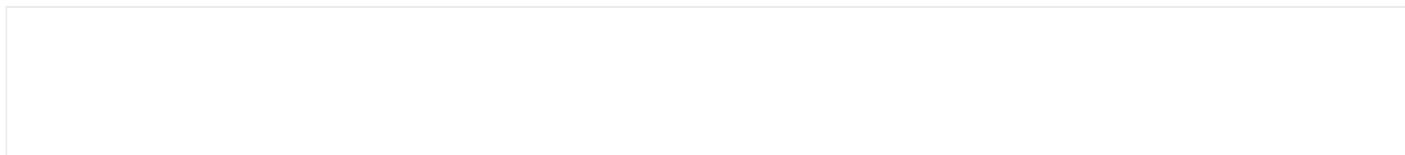
Komplet ołtarzowy krucyfiks, sześć świeczników, Christian Mentzel - Starszy 1692-95, fot. B. Lekarczyk-Cisek.

Uwagę zwracają także figury świętych, m.in. Chrystusa Zmartwychwstałego Caspara Pfistera z 1625 roku czy Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej Johanna Klinge z 1736 roku. Ponadto podziwiać można wspaniały pastorał biskupa Georga Koppa, wykonany w 1906 roku przez Wilhelma Rauschera, który przedstawia pełnoplastyczną figurę św. Jerzego na koniu,

pokonującego smoka. Zawiera także przedstawienie gotyckiej kaplicy, w której arkadach znajdują się figury świętych biskupów i zakonników. Pastorał ów – symbol całej wystawy, który odnajdziemy również na okładce okazałego katalogu – był prezentem duchowieństwa Fuldy (Hesja) dla biskupa kardynała Georga Koppa, wręczonym mu z okazji 25-lecia konsekracji.

Wiele spośród przedstawionych obiektów, w tym niezwykle piękna monstrancja z przełomu XVII i XVIII wieku, wysadzana rubinami i brylantami, nadal służą w Archikatedrze Wrocławskiej podczas szczególnie podniosłych obrzędów religijnych.

Wystawę „Skarbiec. Złotnictwo Archikatedry Wrocławskiej”, której kuratorem, a także autorem katalogu, jest Jacek Witecki.



Galeria



Herma relikwiarzowa św. Wincentego, Tobias Plackwitz 1723, fot. B. Lekarczyk-Cisek.



Monstrancje – pierwsza po prawej wykonana przez Ericha Adolfa ok. 1940 r., fot. B. Lekarczyk-Cisek.



Relikwiarz św. Konstancji, 1. poł. XVIII w.



Relikwiarz św. Felicyty, Rzym 1676 r., fot.
B. Lekarczyk-Cisek.



Relikwiarz św. Jana Chrzciciela, Caspar
Pfoster 1611 r., fot. B. Lekarczyk-Cisek



Ołtarzyk relikwiarzowy biskupa Johanna V. Thurzona, 1511 r.,
 fot. B. Lekarczyk-Cisek.



Pastorał biskupa Georga Koppa, Wilhelm Rauscher 1906 r.,
materiały Muzeum Narodowego.

Zdażyłam na swój pociąg

Rozmowa z Anną Gordijewską - dziennikarką „Kuriera Galicyjskiego” we Lwowie, aktorką i przewodnikiem po mieście.



Anna Gordijewska, fot. Janusz Szlechta

Janusz M. Szlechta: Cały świat śledzi z niepokojem to, co dzieje się na wschodzie Ukrainy. Rosja zabrała Ukrainie Krym, trwają walki w Donbasie. Czy czujecie tę wojnę we Lwowie? Czy nie boicie się, co dalej będzie, jak to się zakończy?

Anna Gordijewska: Kiedy „wybuchnął” Majdan – była euforia. Wyszli tam protestować głównie młodzi ludzie, była nadzieja, że coś się zmieni, że w kraju będzie lepiej. Ale kiedy przerodziło się to w walki, kiedy rozpoczął się konflikt zbrojny z Rosją i w grę weszły duże pieniądze – bo rozpoczęła się również wojna oligarchów – ludzie zaczęli się bać.

W Donbasie codziennie giną ludzie, więc codziennie towarzyszy nam lęk o to, jak się ta wojna skończy... Tego nikt nie wie. My w telewizji widzimy to samo, co oglądają ludzie w Polsce i w Stanach Zjednoczonych. Jeśli nie ma potrzeby, nikt nie jedzie tam, gdzie trwają walki. Ja tam nie byłam...

We Lwowie bezpośrednio wojny nie widać. Ale to jest przecież jeden kraj, więc odczuwamy wojnę przede wszystkim emocjonalnie i ekonomicznie. Zarabiamy mniej, wzrosło bezrobocie. W rodzinach, w których są synowie, panuje strach przed tym, co będzie, bo jest ogłoszona mobilizacja. Chłopcy są brani do armii. Część młodych mężczyzn wyjechała za granicę, także do Polski; niektórzy nie odbierają „powistek”, czyli powołań do wojska. Wielu młodych chłopaków mówi: My

jesteśmy patriotami, gotowi jesteśmy pójść walczyć, ale chcemy wiedzieć, dla kogo mamy walczyć! Panuje bowiem wielki chaos w ludzkich głowach i sercach. Wojna ta często odbierana jest jako wojna oligarchów. Rosja nie przyznawała się, że wysłała na Krym wojska specjalne, aby go zdobyć. My wiemy tylko tyle, że pojawiają się nagle „zielone ludziki”, a w sklepach można kupić wojskowe mundury.

Dla nas jest jasne jedno: Krym został zabrany Ukrainie! Nie ma bezpośredniego połączenia z Rosją, więc Rosja będzie walczyć, dopóki nie zdobędzie korytarza we wschodniej Ukrainie. We Lwowie obserwujemy natomiast, że jest coraz więcej osób rosyjskojęzycznych. Są to na ogół uciekinierzy ze wschodniej Ukrainy. Do czasów wojny we Lwowie dominował język ukraiński. Oczywiście było sporo turystów, w tym Polaków, więc nasz język też był często słyszany. Kiedy prezydentem był Wiktor Juszczenko, zaczęła się walka z językiem rosyjskim i w pewnym momencie jakby zniknął z oficjalnego obiegu.

JSz: A czy ludzie ze Lwowa uciekają, próbują znaleźć sobie bezpieczniejsze miejsce do życia – myślę tu głównie o naszych rodakach?

AG: Oczywiście, że uciekają, zresztą nie tylko nasi. Polacy z Polski zawsze mieli większe możliwości wyjazdu za chlebem, czy z innych powodów, aniżeli Polacy ze Lwowa. Po II wojnie

światowej wielu Polaków zostało zmuszonych do opuszczenia Lwowa, nie mieli wyboru. W późniejszych latach ci, którzy tutaj zostali, uświadamiali sobie, że jednak żyją w obcym kraju. Stąd też pojedynczo, lub całymi rodzinami – jeśli tylko było to możliwe – wyjeżdżali do Polski i próbowali ułożyć sobie tam życie. Dużo osób opuściło Lwów po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce. Podobnie jest dzisiaj.

Aby zostać we Lwowie, trzeba być człowiekiem z charyzmą. Jeżeli ktoś żyje nie tylko dla siebie, widzi potrzebę udzielania się i pracy dla innych, zawsze znajdzie swoje miejsce. Ale też sporo jest takich rodaków, którzy nigdzie nie wyjechali, bo nie mieli dokąd, do kogo, nie mieli pomysłu na wyjazd albo odwagi.

JSz: A Ty... nie próbowałaś wyjechać do Polski? Na pewno znalazłabyś tam swoje miejsce, masz przecież wielu przyjaciół, jesteś osobą znaną w kręgach dziennikarskich...

AG: Nie ukrywam, że miałam dylemat, co robić? Szybko jednak uświadomiłam sobie, że jednak nie, nigdzie nie jadę... Urodziłam się przecież we Lwowie – to jest moja mała ojczyzna. Uczyłam się w polskiej szkole imienia św. Marii Magdaleny, która w 2016 roku będzie obchodzić piękny jubileusz 200-lecia działalności. Niewielu Polaków na świecie może się dzisiaj pochwalić, że uczyli się w szkole z tak bogatymi tradycjami. W tej szkole uczyło się wielu znakomitych Polaków.

W czasach Związku Radzieckiego we Lwowie były dwie polskie szkoły: szkoła imienia Marii Magdaleny i imienia Marii Konopnickiej – założona już po II wojnie. Sowieci uznali, że Polakom wystarczy jedna szkoła i chcieli jedną z nich zamknąć – wybór padł na tę, w której ja się uczyłam. Dzisiaj gorąco dziękujemy naszym rodzicom za to, że mieli odwagę jej bronić. Specjalna delegacja, złożona z matek, pojechała do Moskwy prosić, aby nie zamykano szkoły, bo jest bardzo potrzebna. W tej delegacji była również moja mama Maria (z domu Wołoszyńska). Mama była zawsze kobietą zdecydowaną i śmiałą w swoich wypowiedziach, decyzjach i poczynaniach. Władze sowieckie powiedziały wtedy tak: my wam zostawimy tę szkołę, ale pod warunkiem, że stworzycie w niej muzeum jakiegoś polskiego bohatera. Wówczas rodzice zaproponowali, aby utworzyć muzeum Feliksa Dzierżyńskiego.

Teraz może się to wydawać śmieszne, a nawet niesamowite, ale należy pamiętać, jakie to były czasy. Brzmi to jak paradoks, ale właśnie Feliks Dzierżyński uratował szkołę przed zamknięciem. Co jakiś czas przychodziła komisja i pytała kierownictwo szkoły: jest muzeum? No jest – mówiła dyrektorka. A kto jest bohaterem tego muzeum? – pytała dalej komisja. No, Feliks Dzierżyński – padała odpowiedź. Członkowie komisji z uznaniem kiwali głowami i odchodzili. Ja, jako uczennica, nigdy w tym muzeum nie byłam. Zresztą moi koledzy i koleżanki również. Ale dzięki temu muzeum szkoła przetrwała...

JSz: No, a wcześniej nie próbowałaś wyrwać się ze Lwowa w świat, zmienić coś w swoim życiu?

AG: Moja młodość, ta piękna i szalona nieco, przypadała na lata, kiedy w Polsce był okres strajków, potem stan wojenny, potem czas lizania ran po stanie wojennym... Uczyłam się we Lwowie, bo nie miałam żadnego wyboru, żadnej możliwości wyjazdu dokądkolwiek. My, Polacy, mieliśmy określony status. Nie odczuwałam, aby mnie ktoś śledził czy prześladował, ale niemal na każdym kroku odczuwaliśmy to, że jesteśmy inni. Na studia dostawali się najzdolniejsi oraz dzieci kołchoźników, wojskowych, członków komunistycznej partii... Polacy byli gdzieś tam daleko w kolejce, a więc szanse na podjęcie studiów były niewielkie.

JSz: A czy mogliście normalnie, na co dzień mówić po polsku? Nie ponosiliście konsekwencji z tego powodu, że mówiliście w tym języku?

AG: Język polski w tym mieście był popularny i potrzebny, bo było to miasto na pograniczu. Używali go nawet Ukraińcy na różnych szczeblach, którzy uczyli się go w przedwojennych gimnazjach. Nie było wówczas filologii polskiej na Uniwersytecie Lwowskim, tylko katedra filologii słowiańskiej. Nasza młodzież miała wówczas szanse wyjazdu na studia polonistyczne jedynie do Wilna. Gdybym wtedy wyjechała do Polski, na pewno moje

życie ułożyłoby się inaczej. Tuż przed stanem wojennym wyjechała do Polski moja mama, nieco później moja starsza siostra Jolanta.

JSz: Czy dziennikarstwo to był Twój świadomy wybór i chciałaś się poświęcić tej profesji? Myślałaś już wówczas o pracy w mediach polskich czy rosyjskojęzycznych?

AG: Tak, to była moja przemyślana decyzja. Nie mam problemu z pisanem w języku ukraińskim czy rosyjskim, ale myślałam o pracy przede wszystkim w mediach polskich. Skończyłam studia dziennikarskie w Akademii Poligraficznej we Lwowie, ze specjalizacją „redaktor naukowo-technicznej literatury i informacji”. Kiedy zdobyłam dyplom, dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Mogłam pisać pracę doktorską, bo zostałam wytypowana przez mojego promotora, ale wybrałam doktorat z... macierzyństwa. Urodziłam córeczkę Kasię, a trzy lata później Elizę.

W tym czasie mój mąż, który był wykładowcą w Akademii Poligraficznej, bardzo intensywnie pracował, gdyż chciał obronić doktorat. Ja poświęciłam się więc wychowywaniu dzieci i domowi. I byłam bardzo szczęśliwa.

Kiedy dziewczynki już troszkę podrosły, zaczęłam szukać pracy, ale chciałam, aby była to praca związana ze środowiskiem

polskim. Byłam przez wiele lat odseparowana od tego środowiska, obracałam się wśród lwowiaków różnych narodowości, czułam więc potrzebę powrotu do środowiska polskiego. Moje córki poszły oczywiście do polskiej szkoły im. Marii Magdaleny. Szybko zostały harcerkami, więc wówczas zaczęłam udzielać się w harcerstwie.

Pewnego razu dyrektorka szkoły Marta Markunina zapytała mnie, czy nie chciałabym studiować w Polsce. Warunek był taki, że jak skończę studia i wrócę do Lwowa, to będę pracować w Polskim Radiu Lwów.

Ojciec powiedział wówczas: *Twój pociąg odjeżdża i jeśli chcesz coś w życiu osiągnąć, to musisz do niego wsiąść, nawet do ostatniego wagonu.* Natomiast mój mąż powiedział: *Kiedy urodziłaś drugą córkę – ja broniłem doktorat; ty zrezygnowałaś wówczas ze swojego doktoratu. Teraz, kiedy jest taka możliwość, skorzystaj z niej i jedź na studia do Polski. My sobie tutaj damy radę.*

JSz: No i co, wsiadłaś do tego pociągu, który powiózł Cię do Polski i otworzył przed tobą inny świat?

AG: Bardzo dziękuję za to moim ukochanym mężczyznom, którzy byli i są dla mnie prawdziwą opoką. Teraz wiem, że aby coś w życiu osiągnąć, trzeba mieć wsparcie bliskich ludzi. Nie była to

łatwa decyzja, nie było mi też łatwo studiować, ale dzięki tej decyzji moje życie bardzo się zmieniło – oczywiście na lepsze.

Skończyłam Studium Komunikowania Społecznego i Dziennikarstwa na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w Lublinie. Studia trwały dwa lata, w trybie stacjonarnym. Zazwyczaj cztery dni byłam w Lublinie, a na koniec tygodnia jechałam do Lwowa, do rodziny. Pamiętam, jak dojeżdżałam do Lwowa autobusem, często pełnym handlarzy z worami załadowanymi towarem.

JSz: Co Ci te studia dały, czego się tam nauczyłaś? Czy było to przydatne później w twojej codziennej pracy?

AG: Była to naprawdę dobra szkoła życia i dziennikarstwa. Mieliśmy wspaniałych wykładowców – byli to znani dziennikarze prasowi, radiowi i telewizyjni. To był czas, kiedy do telewizji i do mediów zaczęły wkraczać komputery.

Dyrektor Studium Komunikowania, ks. prof. Leon Dyczewski, kiedy nas żegnał i wręczał nam dyplomy po jego ukończeniu w roku 1997, powiedział o mnie: *Ta pani wraca do Lwowa i będzie nowoczesną dziennikarką, będzie mogła korzystać z komputerów i na pewno będzie ważnym łącznikiem Lwowa z Polską.*

Miałam dodatkowy powód do dumy, bo dyplom ukończenia

studium wręczył mi sam Krzysztof Zanussi, znakomity reżyser filmowy, który również prowadził z nami zajęcia. Świadcami tego wydarzenia były moja mama i siostra.



Lwów

JSz: Pracę dyplomową zapewne pisałaś o Lwowie, bo... nie widzę innej możliwości.

AG: Oczywiście. W pierwszej chwili stwierdziłam, że będę pisać o Lwowie, tak od serca. Po rozmowie z moją promotorką Anną Kaczkowską – jedną z najlepszych wówczas dziennikarek Radia Lublin – doszłam do wniosku, że temat zawęzę i opiszę Cmentarz

Łyczakowski.

W latach 90. polskie władze rozpoczęły trudne rozmowy ze stroną ukraińską na temat renowacji tego cmentarza. Planowano ukończenie prac w roku 1998. Kiedy pisałam tę swoją pracę, któregoś dnia przyszłam na cmentarz. Prowadzono właśnie prace ekshumacyjne. Zobaczyłam ciała obrońców Lwowa, tak zwanych Orląt, którzy zmarli śmiercią naturalną wiele lat później i byli pochowani nieco dalej od tych, którzy zginęli w walce. W latach 70. przez te nagrobki została poprowadzona asfaltowa droga.

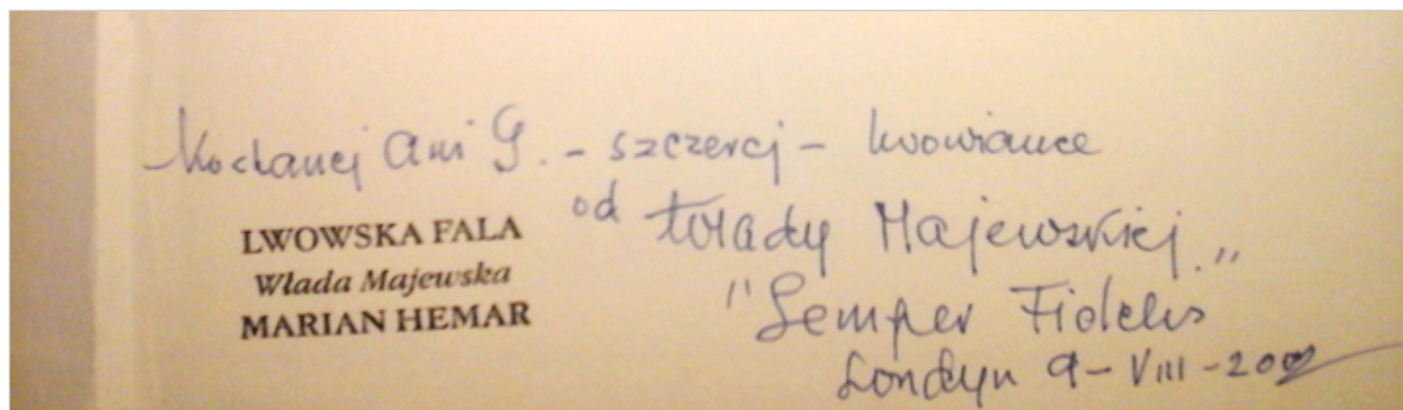
Przyszłam z mikrofonem, aby nagrywać rozmowy. Przy ekshumacji pracowała wówczas ekipa katyńska pod kierownictwem prof. Andrzeja Koli z Torunia. Nigdy nie zapomnę tego momentu: zobaczyłam rozkopane groby, ludzkie czaszki na wierzchu, kości rąk i... po prostu przestraszyłam się. Prof. Kola powiedział wtedy do mnie: *Niech się pani nie boi tych ludzi w grobach. Trzeba się bać żywych, którzy nie zawahali się zbudować drogi na grobach ludzi.*

Wiele razy przychodziłam potem na cmentarz i zaprzyjaźniłam się z tą ekipą. Kiedy wreszcie w 2005 roku nastąpiło otwarcie odrestaurowanego Cmentarza Łyczakowskiego i dla mnie zabrakło miejsca w pierwszych rzędach podczas tej uroczystości, cała ekipa z prof. Kolą wstała i zaprosili mnie do siebie. To są momenty, których nie sposób zapomnieć. Tytuł mojej pracy

brzmiał: *Wspólnota żywych i umarłych*. Opisałam historię Cmentarza Łyczakowskiego wraz z Cmentarzem Orląt i wiele miejsca poświęciłam właśnie ekshumacji.

JSz: Skończyłaś studia w Lublinie i wróciłaś do Lwowa. Czy właśnie wtedy trafiłaś do Polskiego Radia Lwów?

AG: Tak, podjęłam pracę w radiu. Była to praca w pełni społeczna, nikt tam nie miał etatu. Radio powstało w 1992 roku, więc już w trakcie studiów współpracowałam z tą rozgłośnią – przede wszystkim przekazywałam korespondencje z Lublina. Kiedy ruszałam na miasto z mikrofonem w rękę i słuchałam znakomitych ludzi, uświadomiłam sobie, że najważniejszy dla mnie jest Lwów. Starłam się gromadzić jak najwięcej informacji o tym mieście, czym ono było kiedyś dla Rzeczypospolitej, dla Polaków. Spotykałam wielu ludzi, którzy pamiętali dawny Lwów i dawne życie na Kresach, nagrywałam ich. Cieszę się, że nagrałam tylu wspaniałych ludzi, że miałam możliwość ich spotkać, dotknąć ich, porozmawiać z nimi.



Dedykacja od Włady Majewskiej.

Zaczęłam nadawać korespondencje ze Lwowa do różnych rozgłośni w Polsce, ale także za granicą – w tym do Chicago oraz do polskiej sekcji Radia BBC w Londynie. Dostałam zaproszenie do Anglii, gdzie spotkałam się z legendą przedwojennego Radia Lwów Władą Majewską. Była wówczas ostatnią żyjącą osobą, która w tym radiu pracowała. Podczas nagrania wywiadu pani Włada rozplakała się i powiedziała: *Wszystko bym oddała, aby tylko wrócić do Lwowa*. Usiłowałam jej wytłumaczyć, że tamtego Lwowa już nie ma, że to jest już inne miasto. A ona wówczas zauważyła: *Tak, to prawda, ale miasto to nie są tylko kamienice. Miasto to przede wszystkim ludzie, którzy tworzyli ten niesamowity Lwów, którzy decydowali o jego klimacie i charakterze*. To spotkanie utkwiło mi w pamięci do końca życia. Na półce pozostało kilka książek, podarowanych mi przez nią z dedykacją... Włada Majewska zmarła w wieku stu lat.

Kiedy ci znani i mniej znani ludzie zaczęli odchodzić, nagle zaczęłam mieć pretensje do siebie, no bo przecież mogłam spotkać się z nimi, wysłuchać ich, nagrać, ocalić wiele ciekawych informacji, refleksji i przeżyć.

JSz: Wiem o czym mówisz... Ja już dawno uświadomiłem sobie, że nie ma takiej możliwości, aby do wszystkich ludzi, którzy nas

zadziwiają czy zachwycają, dotrzeć, aby z nimi porozmawiać i utrwalić ich wiedzę i refleksje. Jeśli uda nam się zatrzymać w czasie chociaż niektórych z nich, to już jest powód do satysfakcji.

AG: Najpierw, kiedy jesteśmy dziećmi, widzimy, że odchodzą ludzie w wieku naszych dziadków, a potem w wieku rodziców. Teraz odchodzą nasi rówieśnicy... To zaczyna się rozumieć dopiero wówczas, kiedy człowiek osiąga wiek dojrzały. Dlatego zaczynam się śpieszyć, aby spotkać i nagrać jak najwięcej wspaniałych ludzi. Wiele wypowiedzi tkwi w mojej głowie, zmuszają mnie do refleksji. To jest to, co nas rozwija. Ksiądz Jan Twardowski napisał genialne słowa w swoim wierszu: *Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą...*

JSz: Ile lat pracowałaś w Polskim Radiu Lwów? Kiedy i dlaczego z niego odeszłaś?

AG: Praca w radiu mnie fascynowała, wszystko co robiliśmy dawało nam radość, odczuwaliśmy, że jesteśmy potrzebni w polskim środowisku we Lwowie. Łączyły nas młodość, pasja i satysfakcja z pracy społecznej. Przepracowałam w radiu prawie 20 lat. Odeszłam na początku 2014 roku.

Zawsze jest tak, że coś się kończy... Postanowiłam poszukać dla siebie innego miejsca. Nie wolno bać się wyzwań, czegoś nowego. Jeśli coś przestaje się układać albo czujesz, że

drepczesz w miejscu, to warto to zmienić. Odeszłam z radia i po kilku miesiącach dostałam propozycję pracy w „Kurierze Galicyjskim”.

Nie przyszło mi to lekko. Na szczęście za mocno nie bolało, bo jednak zostałam w mediach i robię to, co robiłam wcześniej, tylko troszeczkę inaczej.

JSz: Czym zajmujesz się w „Kurierze Galicyjskim”, jaką problematyką?

AG: „Kurier Galicyjski” powstał 8 lat temu. Jego założycielem, wydawcą i redaktorem naczelnym jest Mirosław Rowicki. On sam mówi, że kiedyś opíše swoją historię w pamiętnikach – zostawię więc to jemu. „Kurier Galicyjski” to największe polskie medium na Ukrainie. To nie tylko „papierowa” gazeta o nakładzie przekraczającym 10 tysięcy egzemplarzy. To także portal internetowy z powodzeniem spełniający rolę internetowej gazety codziennej – www.kuriergalicyjski.com. Wydajemy też pismo dla dzieci „Polak Mały”. Dwa lata temu powstała nasza telewizja, dostępna na razie w internecie na kanale YouTube: www.youtube.com/user/Kuriergalicyjski.

Niedawno ruszyło we Lwowie nasze radio, które współpracuje z Radiem Wnet w Warszawie, prowadzonym przez Krzysztofa Skowrońskiego. Na pewno będziemy się rozwijać. Na łamach

gazety czytelnik może znaleźć różne tematy: od kulturalnych, sportowych, historycznych, poprzez społeczne, po aktualne wydarzenia polityczne. Jeśli trzeba przygotować bieżące informacje czy materiały to oczywiście to robię, ale przede wszystkim postanowiłam robić dalej to, co robiłam przez tyle lat w radiu – chcę zachować w pamięci swojej i ludzi te postacie, które są tego warte, bo są – bądź byli – wielkimi Polakami. Staram się też odnajdywać i nagrywać ciekawych ludzi z Kresów.

W pewnym momencie w „Kurierze Galicyjskim” moim żywiołem stała się telewizja. Film, pokazujący człowieka i zawierający jego wypowiedzi, ma zdecydowanie większą wartość dokumentalną, aniżeli sam głos nagrany na taśmie czy na elektronicznym rejestratorze. Staram się więc takie materiały filmowe obecnie realizować.

Rok temu, podczas Przeglądu Filmów Polskich „Pod Wysokim Zamkiem”, odbyło się spotkanie z legendą polskiego kina Danutą Szaflarską. Miałam możliwość zadania kilku pytań słynnej aktorce i oczywiście zapytałam, czy była kiedykolwiek we Lwowie. Odpowiedziała, że dawno marzyła o tym, aby przyjechać do naszego miasta. Przyznała się, że przed wojną miała propozycję studiowania we Lwowie, ale nie zdążyła... A wojna zmieniła wszystkie plany. To wspomniała aktorka, kobieta pełna pogody ducha – z takich ludzi trzeba brać przykład. Jak uśmiech upiększa każdego człowieka. W wieku 99 lat przyjechała po raz

pierwszy do Lwowa! Czyli nigdy nie jest za późno.

Później obejrzelismy film dokumentalny o jej życiu i twórczości. Wyszłam ze spotkania zauroczona panią Danutą i natchniona. Spotkałam przy wyjściu z kina Zbigniewa Chrzanowskiego – aktora, reżysera i dyrektora Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie. Zapytałam go, czy zgadza się na to, abym nakręciła film o nim i o teatrze...

Obecnie pracuję nad największym swoim dziełem – 30-minutowym filmem dokumentalnym, który będzie nosił tytuł „Moje magiczne miejsca”. Jest to sentymentalna wędrówka Zbigniewa Chrzanowskiego, z którym odwiedzamy najważniejsze miejsca związane z historią i działalnością przedwojennej sceny polskiej we Lwowie. Film ten był przedstawiony na festiwalu filmów emigracyjnych EMIGRA w Warszawie.

JSz: Czy „Kurier Galicyjski” jest dostępny w Polsce?

AG: Jest to aktualnie największe polskie pismo dostępne w całej Ukrainie. Ma się dobrze i nawet się rozwija. Jest dostępne w Warszawie i Przemyślu. Można też zamówić prenumeratę do Polski i innych krajów za pośrednictwem naszej redakcji. Wystarczy wysłać e-mail na adres kuriergalicyjski@wp.pl. Jeśli ktoś chce zobaczyć, co i jak robimy, to mamy, jak już wspomniałam, własny portal internetowy:

www.kuriergalicyjski.com Tam też można przeczytać każdy numer „Kuriera” w pdf-ie, a także obejrzeć nasze filmy. Mamy sporo współpracowników w Polsce, piszą też do nas pasjonaci z całego świata. Główna siedziba redakcji jest we Lwowie.

JSz: Jakie inne polskie media – oprócz Polskiego Radia Lwów i „Kuriera Galicyjskiego” – istnieją we Lwowie i innych miastach Ukrainy?

AG: We Lwowie nie ma aktualnie innych polskich mediów, oprócz tych, które wymieniłeś, jeśli nie liczyć wydawanego w niewielkim nakładzie kwartalnika Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie – „Nasze Drogi”. Nie mamy tu też żadnych gazet z Polski. Nie ma już, niestety, polskiej księgarni, która istniała w czasach Związku Radzieckiego. Niestety teraz, kiedy ludzie często nie mają na chleb, a ceny polskich książek są wysokie – po prostu nie stać ich na taki wydatek. Dzięki internetowi nie ma dzisiaj problemu ze słuchaniem polskich stacji radiowych czy oglądaniem programów telewizyjnych – niestety, większość z nich jest zakodowana.

Na Ukrainie jest kilka polskich rozgłośni radiowych i telewizyjnych. Poza Lwowem i Stanisławowem, gdzie nadawana jest w eterze, tworzona przez „Kurier Galicyjski”, audycja „Na polskiej fali”, istnieje też polska rozgłośnia w Berdyczowie. Polskie audycje telewizyjne nadawane są w Winnicy, Żytomierzu

i Łucku.

Wydawane są też polskojęzyczne gazety. W Winnicy, na Podolu, jest to miesięcznik „Słowo Polskie”, a w Kijowie dwutygodnik „Dziennik Kijowski” i kwartalnik „Krynica”. W mieście Ostróg wydawane jest „Wołanie z Wołynia”, a w Berdyczowie – „Mozaika Berdyczowska”. W Łucku wydawane jest dwujęzyczne pismo „Monitor Wołyński”. Istnieje też kilka lokalnych czasopism, które jednakże są wydawane w niewielkim nakładzie.

JSz: Aniu, poznaliśmy się latem, w roku 1998, w Clifton w stanie New Jersey, kiedy przyjechałaś do USA na zaproszenie Iwony Rachelskiej, ówczesnej szefowej telewizyjnego programu Studio 3. Udzieliłaś mi wywiadu, który ukazał się na łamach „Nowego Dziennika”. Mówiłaś wówczas pięknie o swoich trzech miłościach... Przypomnij zatem, jakie są te twoje miłości.

AG: Miałam wtedy trzy swoje miłości: polski Lwów, polską szkołę imienia Marii Magdaleny i Polskie Radio Lwów. Radio Lwów na pewno pozostanie dla mnie ważnym miejscem, bo oddałam mu prawie 20 lat swojego życia. Wielokrotnie groziło mu zamknięcie. Ratowaliśmy je dzięki wsparciu przyjaciół z zewnątrz – między innymi dzięki tobie, Januszu. Dzisiaj i zawsze będę tym wszystkim osobom wdzięczna, że pomagali nam ratować radio. A przecież była to nasza praca społeczna, płynąca z potrzeby serca. Dzisiaj doszła jeszcze czwarta miłość – do „Kurier

Galicyjskiego”.

Moje córki w pewnym momencie nawet się na mnie obraziły, że tak mówiłam, ale wyjaśniłyśmy sobie, że dom i rodzina to jest moja sfera prywatna, która podlega ścisłej ochronie i oczywiście jest dla mnie najważniejsza.



Anna Gordijewska, fot. Janusz Szlechta

JSz: W 2002 roku spotkaliśmy się ponownie, tym razem w Tarnowie, podczas X Światowego Forum Mediów Polonijnych, które przez dwadzieścia lat organizowało Małopolskie Forum

Współpracy z Polonią. Ja przyjeżdżałem jako dziennikarz nowojorskiego „Nowego Dziennika”, a ty jako dziennikarka Polskiego Radia Lwów. Wróćmy więc na chwilę do tamtych czasów, Forum dla dziennikarzy polskich rozsianych po świecie było bowiem bardzo ważnym wydarzeniem. Nie sposób o nim zapomnieć...

AG: Forum było ogromnie ważnym wydarzeniem, połączyło bowiem polskich dziennikarzy ze Wschodu z tymi z Zachodu. Dzięki Forum stało się coś, co było praktycznie nieosiągalne, ba, trudno było sobie coś takiego wyobrazić. My ze Lwowa, dzięki Forum, zyskaliśmy możliwość bezpośredniego kontaktu z kolegami z krajów zachodnich, także z USA. Te kontakty znakomicie owocują do dziś. Zawiązały się liczne przyjaźnie, nawzajem odwiedzamy się w różnych krajach, wspomagamy się dziennikarsko. Jak ktoś zajrzy na chwilę do Polski, natychmiast pędzimy jeden do drugiego, aby bodaj na chwilę się spotkać. Czegoś takiego nie mogłabym nawet wyśnić...

To, co robiliśmy na Forum Mediów Polonijnych, co przeżywaliśmy, czego uczyliśmy się – dzisiaj mogę to zupełnie szczerze powiedzieć – jest to nasz ogromny kapitał, który procentuje do dziś. Cały czas byliśmy przed kamerami i mikrofonami polskich stacji telewizyjnych i radiowych, udzielaliśmy wywiadów nawzajem jeden drugiemu – i to mnie również bardzo inspirowało. Dzisiaj bardzo żałuję, że wówczas

nie nagrałam wywiadów z osobami, które już odeszły. Właśnie dopiero wtedy, kiedy ktoś odejdzie na zawsze, łapiemy się za głowę i mówimy: a dlaczego nie nagrałam z nim rozmowy, nie utrwalłam tego, co ten człowiek miał do powiedzenia?!

Dzięki Forum moje Radio Lwów nawiązało współpracę z polskim radiem w Chicago. Co środe jeden z dziennikarzy telefonował do nas i przekazywał informacje nie tylko o tym, co działo się w środowisku polonijnym, ale również o normalnym życiu Ameryki.

Kiedy przyjechał do Lwowa Jan Paweł II w 2001 roku, dzwonili do nas i pisali koledzy z Ameryki, ze Szwecji czy z Argentyny i pytali, jak wygląda Lwów przed przyjazdem papieża, co robimy, jak się przygotowujemy... Bo akredytowani dziennikarze przyjechali do Lwowa dopiero w dniu przyjazdu papieża. Podobnie było wówczas, kiedy wreszcie nastąpiło otwarcie Cmentarza Orląt Lwowskich w 2005 roku. Aby oddać atmosferę, wiedzieć coś więcej, trzeba być jednak na miejscu, trzeba w tym wydarzeniu uczestniczyć... a my byliśmy na miejscu.

JSz: Jedną z najstarszych istniejących polskich instytucji kulturalnych we Lwowie jest Polski Teatr Ludowy, który został założony w 1958 roku. Od wielu lat jesteś związana z tym teatrem, grywasz w różnych sztukach. Jak to się stało: przypadek czy autentyczna potrzeba zaprowadziła Cię na scenę?

AG: To było w maju w roku 2001. Zadzwoiła do mnie Jadwiga Pechaty, moja koleżanka, od zarania dziejów grająca w tym teatrze. *Aniu, przygotowujemy „Kartotekę” Różewicza – powiedziała – i potrzebujemy pilnie, aby ktoś zagrał dziennikarkę. Pomyślałam sobie, że ty będziesz świetna w tej roli – dodała. Byłam zaskoczona, zmieszana. Nie wiem, czy sobie poradzę? – próbowałam się bronić. Nie martw się, poradzisz sobie – przekonywała mnie Jadwiga.*

No i zgodziłam się. Była to ostatnia scena. Usiadłam na łóżku, wzięłam do ręki mikrofon i zaczęłam rozmawiać z głównym bohaterem, którego grał Zbigniew Chrzanowski. Pamiętam do dziś, jak drżała mi ze zdenerwowania ręka, w której trzymałam mikrofon. Przerażona pomyślałam, żeby tylko głos mi tak nie drżał... Ale w tym momencie nastąpiło olśnienie. Uświadomiłam sobie, że przecież w przeszłości kilka razy przeprowadzałam wywiady z panem Chrzanowskim – dyrektorem teatru, który kieruje nim do dziś. Oddzieliłam widownię od siebie i zaczęłam z nim rozmawiać tak, jak kiedyś, kiedy we dwoje siedzieliśmy i rozmawialiśmy... A to, że pytania wymyślił Różewicz, wcale mi nie przeszkadzało. Wszyscy koledzy aktorzy bali się, jak to wyjdzie, bo to była praktycznie improwizacja w moim wydaniu, nie było bowiem czasu na przygotowania. Stali za kulisami i patrzyli, i wsłuchiwali się. Udało się i wszyscy odetchnęli z ulgą. Od tego momentu rozpoczęła się moja przygoda z teatrem.

JSz: Jest to teatr wprawdzie amatorski, ale prezentuje świetny poziom, stawia wysokie wymagania aktorom i niełatwo dostać się do zespołu – oznacza to, że jesteś po prostu szczęściarą.

AG: To nie ulega wątpliwości. Dyrektorem teatru i głównym reżyserem jest Zbigniew Chrzanowski – postać wielka i znana. W spektaklach gra wiele wspaniałych aktorek, które poświęciły się temu teatrowi bez reszty. Przeważają Polacy, ale są też Ukraińcy i Rosjanie. Warto wspomnieć, że wiele lat pracował w tym teatrze – jako scenograf i aktor – Walery Bortiakow, który był Rosjaninem, Sybirakiem. Tak zakochał się w tym polskim teatrze, i tak mu dobrze było wśród Polaków, że często podkreślał: *Ja jestem największym Moskalem wśród Polaków*.

Niestety, kilka lat temu odszedł od nas na zawsze. Pomagał w przygotowaniu dekoracji na obchody Święta 3 Maja i spadł z drabiny. Wkrótce potem zmarł. Miał niewiele ponad 60 lat. Bardzo nam go brakuje. Na początku lipca 2015 roku Jadzia zaprosiła kolegów i koleżanki do siebie. *Dzisiaj są urodziny Walerego. Spotkajmy się* – napisała na Facebooku. Dzięki takim spotkaniom mamy nadzieję, że Walery patrzy na nas z góry i się cieszy. Znowu byłam szczęściarą, że miałam okazję go poznać i pracować z nim.

Teatr wystawia ambitne sztuki we Lwowie, ale znają nas też w Polsce, w Czechach i na Litwie. Bierzemy udział w licznych

festiwalach teatrów polonijnych. I wówczas często spotykam przyjaciół, którzy kiedyś uczestniczyli w Światowym Forum Mediów Polonijnych.

Jest to teatr amatorski, ale są to amatorzy zaawansowani, którzy grają od wielu lat. Każdy musi pracować, bo z czegoś trzeba żyć, ale teatr jest naszą pasją. Czujemy się jedną wielką rodziną. Najfajniejsze są momenty, kiedy siedzimy wszyscy w autobusie, a przed nami długa droga... Wtedy jest czas, aby porozmawiać, nacieszyć się sobą. Teatr stał się dla mnie bardzo ważny.



Pomnik Adama Mickiewicza we Lwowie.

JSz: Jakie spektakle prezentujecie? Jakie role grywasz?

AG: Gram na ogół malutkie role, ale nie to jest najważniejsze. Cieszę się, że jestem w teatrze, że mogę uczestniczyć w różnych spektaklach i w życiu ludzi tego teatru. W końcu nie każdy może być w życiu gwiazdą!

Ludzie powinni czasami zatrzymać się w swoich ambicjach, pomyśleć nieco inaczej o sobie, o życiu. Nam jest razem dobrze – i to jest najważniejsze.

JSz: No dobrze, ale nie powiesz mi, że ot, tak sobie, z przypadku, zostałam aktorką i to Cię cieszy. Nigdy nie marzyłam o tym, aby występować na scenie, grać w filmach, nie próbowałam się realizować jako aktorka?

AG: Oczywiście, że marzyłam o tym, żeby być gwiazdą. Kiedyś, jako mała dziewczynka, na podwórku wystawiałam spektakle swojego teatru lalkowego, reżyserowałam spektakle według znanych bajek. Była kurtyna, dzieciarnia na widowni, bilety – wszystko jak w krainie Melpomeny.

W szkole podstawowej im. Marii Magdaleny był teatr, który

prowadziła nasza polonistka, pani Maria Iwanowa. Teatr ten nazywa się Baj i do dziś działa. Pani Maria wymyśliła kiedyś coś takiego, że para ubrana po krakowsku podchodzi do półki, zdejmuje z niej książkę, otwiera i nagle ożywają postacie z tej książki. Ja grałam rolę pani Słowikowej – miałam wtedy 9 lat. Ubrana byłam w piękny strój, który zrobiła mi mama. A sąsiad, który był malarzem, namalował do tego stroju pióra. Martwiłam się bardzo, dlaczego nie wraca do domu mój mąż – pan Słowik. A kiedy wreszcie się pojawił, powiedział: *Przyszedłem późno, bo wieczór był tak piękny, że szedłem piechotą.* Po spektaklu podszedł do mnie pan Leszczyc – starszy, dystyngowany pan, który uznał, że najlepiej prezentowałam się na scenie i wręczył mi ogromny kosz kwiatów. Były to pierwsze kwiaty, jakie otrzymałam od mężczyzny.

Kiedy byłam w ósmej klasie, zagrałam poważną rolę – byłam Telimeną w „Panu Tadeuszu” Adama Mickiewicza. Ale nie zbierałam mrówek... Pamiętam swoją kreację, która była pożyczona z Teatru Polskiego. Miałam wówczas długie włosy i mama zrobiła mi francuskie loki – długimi szczypcami, które rozgrzewała na gazie. Meble i lustra, które stały na scenie, pożyczały nam starsze wówczas panie, Polki – bo to były zachowane dobra rodowe. Wyszłam na scenę, potknęłam się, bo z trudem dźwigałam swój strój i omal nie upadłam nosem wprost w wystający gwóźdź. Zdołałam jednak utrzymać równowagę, ale z wrażenia zapomniałam swojej roli. Na szczęście wszystko

dobrze się skończyło.

JSz: Jesteś dziennikarką, bo wybrałaś ten zawód, ale jesteś również aktorką. No i jesteś przewodnikiem po Lwowie – masz stosowny dyplom. To też był Twój świadomy wybór, wynikający z wewnętrznej potrzeby?

AG: Kiedy pracowałam społecznie w Radiu Lwów, gdzieś musiałam zarobić na swoje potrzeby i utrzymanie rodziny. Zarabiałam więc jako przewodnik po Lwowie. Pierwszą wycieczkę oprowadziłam w 2000 roku. Nigdy wcześniej nie przypuszczałam, że będę wykonywać dwie prace, które związane są z mikrofonem i gadaniem.

JSz: Czy teraz także, mimo wojny na wschodzie Ukrainy, oprowadzasz wycieczki po tym pięknym mieście?

AG: Oczywiście. Lwów, mimo wszystko, jest wciąż bardzo popularnym miastem wśród turystów. Nic dziwnego, drugiego takiego miasta przecież nie ma, a lwowska Starówka jest na światowej liście zabytków UNESCO.

Lwów żyje normalnie, jest piękny i pełen ludzi. Muszę jednak powiedzieć, że rok 2014 nie był dla przewodników dobry. Wojna sprawiła, że ludzie bali się podróżować. Po pewnym czasie Lwów znów zaczął przyciągać ludzi ze świata. W 2015 roku najwięcej

przyjeżdża turystów z Polski – są to często podróże sentymentalne, powroty do przeszłości. Jeśli zapytam kogoś z Polski, co go tu, do Lwowa, sprowadziło, to prawie każdy odpowiada, że we Lwowie albo okolicach mieszkała kiedyś jego rodzina. Ktoś powiedział kiedyś, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, a mnie się wydaje, że drogi prawie wszystkich Polaków prowadzą do Lwowa.

Zawsze podkreślałam, że kocham rzeczy piękne, bo urodziłam się w pięknym mieście. We Lwowie można dotknąć ręką wszystkich stylów architektonicznych, poczynając od renesansu. Swoją gust i zamiłowanie do architektury kształciłam właśnie na ulicach Lwowa.

JSz: Czy pojawiają się we Lwowie turyści z krajów zachodnich?

AG: Tak. Niedawno, w Podhorcach koło Lwowa, gdzie znajduje się jeden z najpiękniejszych polskich pałaców – pałac Koniecpolskich i Rzewuskich – spotkałam turystów, którzy przyjechali samochodem z rejestracją czeską. Okazało się, że byli to Niemcy. Kiedy zapytałam ich, co tu robią, czego szukają, odpowiedzieli: *Wędrujemy śladami cesarza Franciszka Józefa*. Cesarz Austro-Węgier Franciszek Józef bywał w tym pałacu. Miał też swoją lożę w Operze Lwowskiej. Wychodziło się z niej bezpośrednio na dawną ulicę Legionów. Cesarz lubił przychodzić do opery podczas swoich pobytów w mieście, witał się z

publicznością, a kiedy chciał wyjść – bo podobno lubił bardzo wcześniej chodzić spać – to po prostu po cichutku wychodził.

JSz: Co najchętniej pokazujesz zwiedzającym? Masz swoje ulubione miejsca?

AG: Oczywiście, ale zazwyczaj mamy określony program, dostosowany do danej grupy. Inny jest program dla grupy przebywającej we Lwowie jeden dzień, inny jest na dwa dni; zdarza się, że przygotowujemy program zwiedzania na trzy dni, ale rzadko – wtedy zazwyczaj grupa udaje się poza Lwów. W programie każdej grupy jest zwiedzanie Cmentarza Łyczakowskiego i Cmentarza Orląt Lwowskich.

Fenomenem Lwowa było to, że do II wojny światowej był stolicą trzech biskupów: obrządku rzymskokatolickiego, obrządku greckokatolickiego i ormiańskokatolickiego. Nawet Rzym nie był stolicą trzech biskupów. A trzy katedry, istniejące do dziś, są przepiękne i te katedry zawsze pokazujemy turystom. Rzymskokatolicka szczególnie zapisała się w historii Polski, w niej bowiem 1 kwietnia 1656 roku złożył śluby król Jan Kazimierz.

W pałacu przy cerkwi świętego Jura, w 2001 roku, podczas jedynej wizyty we Lwowie, nocował papież Jan Paweł II. W tej cerkwi, pod batutą syna Mozarta – Ksawerego, odbyło się wykonanie słynnego „Requiem” napisanego przez ojca. Wybrał

Lwów na miejsce koncertu, gdyż bardzo polubił to miasto, będące wówczas pod zaborem austriackim. Stąd też mamy we Lwowie słynną restaurację Amadeusz. Turyści często się dziwią, co tutaj robił kompozytor Mozart. My wyjaśniamy, że to nie Mozart, lecz jego syn Ksawery tutaj bywał. Kiedy miał 18 lat, założył we Lwowie Towarzystwo Świętej Cecylii.

A katedra ormiańska powstała w połowie XIV wieku, są w niej wspaniałe freski Jana Rosena. Po gruntownej restauracji, została ponownie otwarta w roku 2004, a na jej otwarciu pojawił się we Lwowie Charles Aznavour.

Ja kocham Lwów i z radością oprowadzam ludzi po tym mieście. I mogę o nim opowiadać w nieskończoność...

JSz: Czy chcesz przez to powiedzieć, że turysta jest skazany na przewodnika?

AG: No, może nie aż tak... Ale z przewodnikiem łatwiej i szybciej można poznać miasto i zaprzyjaźnić się z nim. Każdy turysta jest inny, różną ma wiedzę historyczną: dla jednych podawanie dat, nazw i nazwisk jest bez sensu, bo i tak nic z tego nie rozumieją, a dla innych z kolei jest to nudne, bo to znają. Dlatego ja staram się opowiadać o Lwowie tak, jak pisali o nim Janicki czy Witold Szołginia. Już wielokrotnie mnie pytano, czy nie chciałabym napisać swoich opowieści o Lwowie. Owszem, chętnie, ale na

razie nie mam na to czasu. Ale pomyślę o tym. Te opowieści dobrze jest ilustrować, bo turysta lubi oglądać obrazy czy zdjęcia, które pozostają w pamięci.

Najtrudniej jest oprowadzać młodzież, bo nie jest łatwo ją zaciekawić. Często robię więc tak, że ogłaszam konkursy z nagrodami. Pokazuję im na przykład widokówki, a potem pokazuję te obiekty, które widzieli na widokówkach. I jeśli ktoś zgadnie, że zabytkowy obiekt, który właśnie oglądamy, pokazałam na drugiej widokówce – ten otrzymuje nagrodę. I to sprawia, że młodzi ludzie zapamiętują to, co oglądali. Staram się też przeplatać opowieści o Lwowie moimi wspomnieniami o tym mieście: co mówiły moje babcie, co opowiadała mi mama, przytaczam fajne powiedzonka, recytuję czasem zapomniane wiersze... To sprawia, że ta opowieść o mieście nie jest jedynie historią, a miasto staje się normalne, bliższe.



Ulica we Lwowie.

JSz: Urodziłaś się i wychowałaś we Lwowie, w dawnym Związku Radzieckim, w zupełnie innych realiach niż dzisiejsze. Udało Ci się jednak zachować polskość, świetnie mówisz po polsku. Czy to zasługa domu rodzinnego?

AG: Pochodzę z rodziny mieszanej: mój ojciec jest Rosjaninem, urodził się na Syberii, ale matka jest Polką z krwi i kości. Poza ojczyzną nie jest łatwo zachować polskość. A trzeba pamiętać, że my nie jesteśmy na emigracji – my jesteśmy Polakami, od których ojczyzna odeszła. Moja mama Maria zadbała o to, aby w domu wszyscy mówili po polsku, aby żyły polskie tradycje i polski

język. Matka Polka to potrafi. W małżeństwach mieszanych wszystko w rodzinie zależy od matki Polki.

Ale też ważne jest to, w jakim środowisku się żyje. We Lwowie mamy dwa polskie kościoły: katedrę i kościół św. Antoniego, które nigdy nie były zamknięte, podobnie jak dwie polskie szkoły – i to nas uratowało. Bywając w innych miasteczkach i miastach na Ukrainie zrozumiałam, że tam, gdzie nie ma kościoła z mszą odprawianą po polsku, albo szkoły polskiej – język polski ginie. Zachować go w rodzinach, które najczęściej są mieszane – jest bardzo trudno.

Mama oddała mnie do polskiej szkoły, pomimo że w tamtych latach – a były to lata 60. – ani nie było to dobrze widziane, ani też nie przynosiło prestiżu. Dzisiaj szkoły polskie są bardzo modne, między innymi dlatego, że od kilku lat nasza młodzież może studiować w Polsce. Zasada jest taka: Polska kształci naszą młodzież po to, aby potem wracała do Lwowa i na Ukrainę. Ale niewielu wraca. I nie można mieć im tego za złe.

JSz: Klasycznym przykładem są Twoje córki...

AG: To prawda. Obie skończyły we Lwowie polską szkołę, w której ja się uczyłam, a potem studiowały w Polsce. Skorzystały ze specjalnego programu Ministerstwa Edukacji Narodowej dla rodzin pochodzenia polskiego. Kasia jest lekarzem chirurgiem, a

Eliza jest farmaceutką. Obie mieszkają i pracują w Krakowie. Nasze pokolenie nie miało tej możliwości, aby studiować w Polsce. Dzisiaj jestem szczęśliwa, że moje córki mogły studiować w Polsce, że żyją i pracują w Krakowie.

JSz: Dzięki Światowemu Forum Mediów Polonijnych bywałaś raz w roku w Polsce. Teraz w Polsce bywasz bardzo często, no bo trudno żyć z dala od dzieci i wnuków. Jak ją odbierasz, jak się tutaj czujesz?

AG: Różnie Polacy mówią o swojej ojczyźnie, ale dla mnie Polska jest wspaniałym krajem. Najczęściej bywam w Krakowie, u moich córek, bo teraz mogę. Bacznie obserwuję Polskę od roku 1979. I muszę powiedzieć, że Polska bardzo się zmieniła, wypiękniała. Wioski i małe miasteczka, kiedyś brzydkie, zacofane i biedne, dzisiaj są piękne, zadbane, robią wspaniałe wrażenie. Polska nie musi się już wstydzić, jak kiedyś, pokazywać ludziom ze świata. Bo jest piękna!

JSz: Wciąż pędzisz, trudno za tobą nadążyć... Ale często uśmiechasz się, a zatem nie jest źle. Czujesz się spełniona?

AG: Jestem szczęśliwym człowiekiem, bo robię to, co lubię... Staram się cieszyć każdym dniem, każdym napotkanym człowiekiem, zrealizowanym wywiadem – bo uświadamiam sobie, że przecież nie dam rady sama wszystkiego zrobić, spotkać się ze

wszystkimi, nagrać, utrwalić. To nie jest możliwe.

Kiedy zaczęłam pracować jako dziennikarka, moja mama w pewnym momencie powiedziała mi: *Ty zaczynasz robić za gwiazdę*. Wydaje mi się, że każdy, kto ma do czynienia z pracą twórczą, a więc aktor, dziennikarz czy malarz, w pewnym momencie jest dostrzegany przez ludzi, idą za tym nagrody, wywiady, uznanie. Zaczyna rosnąć, a nawet – jak mówiła moja babcia – woda sodowa troszeczkę uderza do głowy. Bo człowiek powinien być dowartościowany, czuć, że robi to, co jest ważne dla niego i dla innych. A ja czuję się dowartościowana. Także wtedy, kiedy ktoś, kogo oprowadzałam po Lwowie, mówi mi, że dziękuje mi za to, co mu pokazałam i o czym mówiłam, i że musi tutaj jeszcze wrócić.

JSz: Kiedy po odwiedzinach córek w Krakowie wracasz do Lwowa, nie czujesz lęku, obawy, że może jednak trzeba było zostać tam, nad Wisłą, bo tam jest spokojnie, pięknie i bezpiecznie?

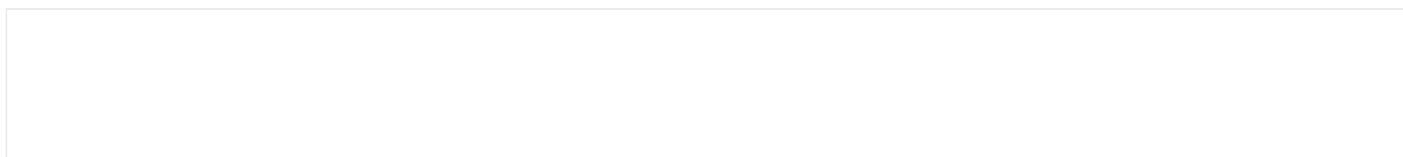
AG: Nigdy w życiu nie spodziewałam się, że będę żyć w kraju, w mojej ojczyźnie, w której będzie wojna. I chociaż ta wojna nie dotyka nas bezpośrednio, nie widzimy jej, ale ona jest bardzo blisko nas, czujemy ją.

Cieszymy się każdym dniem, cieszymy się życiem. Za dużo czasu

wszystkim Polakom, również we Lwowie, zajmują bezsensowne kłótnie. Zamiast kłócić się, powinniśmy się nawzajem wspierać, bo jest co robić. A kiedy będziemy się nawzajem szanować, rozumieć i wspierać, na pewno osiągniemy więcej i wszystkim nam będzie lepiej. Zawiesić zżera, a kłótnie zabierają czas i energię. Jeśli chcemy być bliżej siebie i pracować wspólnie, aby zachować polskie tradycje i kulturę – to powinniśmy unikać wszelkich waśni. Bo przecież wszyscy Polacy mamy jeden cel, zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie – żeby jak najdłużej zachować polskość. Róbmy więc jak najlepiej swoje.

JSz: Żałuję, że nie miałem nigdy okazji zwiedzać Lwowa pod Twoim przewodnictwem. Mam nadzieję, że któregoś dnia przyjadę do tego miasta, z którym i moja rodzina była kiedyś mocno związana, i oprowadzisz mnie po Lwowie...

AG: Zapraszam z całego serca. Pięknych miast na świecie jest bardzo wiele, ale Lwów pozostanie dla lwowiaków – także i dla mnie – najpiękniejszym miastem, bo... to są przede wszystkim sentymenty, bo tu serce przemawia. Pozostają wspomnienia z dzieciństwa. Kiedy do nas przyjeżdżają kresowiaczy, często mówią: *U was jest inne powietrze i nawet trawa jest innego koloru!*. Dalej więc robię swoje i... już się nie zatrzymam.



Wywiad pochodzi z książki Janusza M. Szlechty „Widziane stamtąd. Wybór wywiadów z Polakami żyjącymi gdzieś w świecie”, wyd. Instytut Wydawniczy Kreator, 2017 r.



W rytmie korzeni.

Urszula Koziół.



Urszula Koziół, fot. Elżbieta Lempp, culture.pl

Korespondencja z Polski

Włodzimierz Wójcik

Krajinę własnej młodości Urszula Kozioł wspomina w swoich wierszach jako świat cudownie zielony, wielobarwny, po prostu – rustykalny. Możemy go sobie doskonale zrekonstruować poprzez lekturę jej wiersza *Pejzaż z pamięci* z tomu *W rytmie korzeni* (1963). Poetka pisze:

W przewlekłość nieba odlatują wrony

i piwne liście drzewa na odchodnym

są podwajane dotkliwie przez wody

W miedzianym pyłe gniade kłęby kobył.

W tej cudownej krainie mamy „czerstwym mlekiem napęczniałe skopki”, „Praczkę na kładkach drewnianych klęczącą”, garnki wiszące na kołkach, kobiety niosące „ołowiane tace słonecznika”, „napojone konie”, które wchodzi w otwarte wrota stajni. Wyposażona w takie krajobrazy, które zapadły jej w serce i doznania, jakie one wywoływały, w wiedzę zdobytą w Liceum Ogólnokształcącym imienia Marii Konopnickiej w Zamościu, obeznana z obyczajowością swojej „najbliższej ojczyzny”, czująca świeżość Sanu, Tanwi i zapach Roztocza, szła w świat z niebagatelnym bogactwem, które nieco później eksploatowała w

swej sztuce pisarskiej.

Z cudownej krainy wczesnej młodości trafiła do wspaniałego ośrodka uniwersyteckiego z wielością kulturotwórczych instytucji. Podjęła studia polonistyczne na Uniwersytecie Wrocławskim. Pierwszy stopień uzyskała w 1953 roku; pełne studia magisterskie finalizowała w roku 1969. W latach 1954-1972 pracowała jako nauczycielka najpierw w Bystrzycy Kłodzkiej, potem we Wrocławiu. Była redaktorem wielu pism literackich, aktywnym animatorem kultury. Jej zasługi zostały jednoznacznie określone. Otrzymała doktorat honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego.

Jest powieściopisarką, dramaturgiem, eseistką. Przede wszystkim poetką. W klimacie popaździernikowej odnowy życia polskiego rozwinęła twórczość poetycką. Początkowo swe wiersze zamieszczała w prasie. W krótkim czasie znalazła się w czołówce polskich poetów współczesnych. Między rokiem 1957 a 2005, czyli w ciągu 48 lat wydała drukiem szesnaście tomów wierszy: *Gumowe klocki*, *W rytmie korzeni*, *Smuga i promień*, *Lista obecności*, *Poezje wybrane*, *W rytmie słońca*, *Wybór wierszy* (1976), *Poezje wybrane II*, *Wybór wierszy* (1986), *Żalnik*, *Dziesięć lat przed końcem wieku*, *Postoje słowa*, *Wielka pauza*, *Wiersze niektóre*, *Stany nieoczywistości*, *Supliki* (problematyka przemijania i oswajania śmierci).

Wynika z tego, że nie ma tutaj mowy masowej produkcji poetyckiej. Poetka jest niespieszna, rozważna i wydaje zbiorek wierszy średnio co trzy lata.

Pochodząca z Ziemi Biłgorajskiej, znad Tanwi Urszula Koziół jest od dziesięcioleci wielką osobowością w wielkomiejskim środowisku dolnośląskim. Swoją wielostronną aktywnością zakorzeniła się w niezwykłym polskim mieście, we Wrocławiu.

Ale dlatego nie przestaje twórczo owocować, gdyż nieprzerwanie żyje i tworzy – jak dawniej, za lat młodych – „w rytmie korzeni”. Urszulę Koziół czyta się dzisiaj bezustannie, tak, jak Wisławę Szymborską, Tadeusza Różewicza, Czesława Miłosza, Zbigniewa Herberta, czy na przykład Stanisława Barańczaka.

W jej poezji widać doskonałe osadzenie się na konkrety i jednoczesną zadumę nad sensem życia i głęboką refleksję filozoficzną. Jawi się przeświadczenie, że to, co w życiu odchodzi i przemija, bo umierać musi, w poezji może ożyć i powrócić. Ważne miejsce w tej poezji zajmuje temat bezustannej wędrówki. Człowiek żyje pod ciśnieniem przemienności losu, przeżywa wielorakie nastroje. Poszukuje najlepszego miejsca w życiu, aby po osiągnięciu celów czuć niezadowolenie, nawet dotkliwe rozczarowanie. Poszczególne istnienie ma charakter ulotny. Natomiast byt okazuje się trwały, nieustający. Wiele miejsca poświęca refleksji na temat procesu i tajników tworzenia. Stąd

też autotematyzm tej poezji. Warsztat Urszuli Koziół cechuje wielka pomysłowość w wyzyskiwaniu wielu rozwiązań wersologicznych. Poetka jest mistrzynią miniatury poetyckiej o krystalicznej czystości językowej. Dość przywołać z tomu *Wybór wierszy* (1976) wiersz pod tytułem *Piosenka*:

Już głos piewika

cieniem błękitnym

tańczy w upale

i wartki karmin

dzikiej firletki

śmiga przez trawy

a ja w podróży

a ja bez pary

dzisiaj niczyja

w listku na wodzie

w płytkim obłoku

sobie przemijam

- aby przekonać się o walorach leksykalnych, stylistycznych tej mądrej i bardzo ciepłej poezji, w której dyskretnie manifestuje się wsłuchiwanie się w głos natury połączone z egzystencjalną zadumą. Nieco podobne walory widać w jednym z nowszych wierszy poetki (*Wielka pauza* - 1996) noszącym tytuł *Przechadzka*:

Mówię do ciebie: spójrz -

czy ten kamień, albo skrzydło

owada

nie układa się w taki deseń

jakby głównym celem natury

miał być ornament?

Zmierza ku temu ryba

gwiazda na firmamencie

i kolec

choćby na tej giętkiej gałęzce

jeżyny.

A ty zaprzątnięty własnymi

myślami

mruczysz „to tylko fasada”

i słowo „fasada” w odniesieniu

do tego

o czym ja myślę

przejmuje mnie nagłym

chłodem

Wiersze Urszuli Koziół czyta się z potrzeby serca z wielkim pożytkiem. Sięgają po nie poloniści, młoda inteligencja, intelektualiści, ale także przeciętni czytelnicy bez większego wykształcenia. W tych wierszach znajdują żywą, soczystą polszczyznę, bliskie sercu myśli, człowieczą mądrość, nieśmiertelne pejzaże dzieciństwa, wieczorną muzykę idącą znad rzek i jezior. Tych z Zamojszczyzny i tych z Ziemi Dolnośląskiej...

prof. Włodzimierz Wójcik zmarł w 2012 r.

Poranek na bagnach – haiku

Fotografie: Anna Fiala

Tekst: Adam Fiala



Poranek na bagnach

Ma swój rytuał

Ciszę wzbogacają ptaki



Niby pchły

Maleńkie kangury

Skaczą w zieleni wzgórz



One ze sobą konkurują

Która kałuża

Więcej odbija obrazu nieba



O wschodzie słońca

Chmura zwraca się do nas

Swą okrągłą twarzą



Ja idę do przodu

Ty idziesz do tyłu

Podświetloną słońcem plażą



Krwotok nieba

Niegroźny

Bo tworzą go chmury



Niebo także

Ma swoją

Baletnicę

Drukarnia pod Arkadą

Florian Śmieja

Oficyna pod mostem

Dla K. i Cz. B.



Feliks Topolski, Krystyna i
Czesław Bednarczykowie.

W przedsionku cuchnie farbą, paki przejście

ci tarasują, a przecież to tutaj

tłumniej się garną na duchów biesiady

niż na czwartkowe przyjęcia monarchów.

*Jakże niepyszne stoją kuluary
spasionych bonzów od wielkiej żeglugi
bo strużce płynącej ze wzgórza Kaliopy
na próżno szukać by mniej oficjalnej
ścieżki nad tę, lichtszych progów, schronienia
bardziej skromnego. Duch od rezydencji
stroniący bujniej za to popod strzechą
swobodny kwitnie. Tak na nagiej ścianie
orzeł kapłonowi też nie zazdrości
ni gęsi sytuowanej na grzędzie.*

*Wie, że gdy spadnie z błękitu piorunem,
truchleją serca tuczone, umilknie
głos podwórkowy. Bo gdzie się pokażą*

orły, padlina zwykle niedaleko.

W Londynie pod przęsłami kolejowego mostu na Tamizie funkcjonowała przez kilkadziesiąt lat Oficyna Poetów i Malarzy, wydawnictwo i drukarnia Krystyny i Czesława Bednarczyków, znana nie tylko polskim emigrantom zamieszkałym w stolicy Zjednoczonego Królestwa i okolicy, ale również wielu Polakom odwiedzającym Anglię.



Krystyna Bednarczykowa, fot.
Katedra Edytorstwa i Nauk
Pomocniczych UJ.

Podwójna rola poetów i drukarzy wystawiała oboje na wiele niełatwych prób i kolei barwnego życia w wyziewach ołowiu i farby drukarskiej, wśród maszyn i stosów papieru w różnych stadiach obróbki. Były to jeszcze czasy przedkomputerowe, epoka żmudnej pracy zecerów i linotypistów, drukarek rotacyjnych i gilotyn. W takich to warunkach powstawały piękne druki, które z czasem miały stworzyć długą listę w wiele setek tytułów idącego rejestru osiągnięć placówki.

Wydawanie książek Bednarczykowie zaczęli z pomocą pedałówki. Mieli ambicję zrzeszyć ludzi pióra i pędzla równouprawnionych w książce i piśmie. W erze zarysowującej się rewolucji technologicznej, która przeorała drukarstwo, wierzyli w przetrwanie rzemiosła i sztuki wielkiej tradycji reprodukcji książki. *Z Gutenbergem iść będzie dalej piękna książka, wiecznie istnieć będzie artysta książki i ręczna sztuka drukarska*, pisał Bednarczyk. Wierzyli, że pozostanie tęsknota do artystycznej, na ręcznej prasie tłoczzonej książki. Nieraz jeszcze z sentymentem wspominam częste odwiedziny w drukarni. Przynosiłem czasem domowe kołaczki, albo zakupione w pobliskiej cukierni ciastka,

Bednarczykowie ogłaszali przerwę, parzyli kawę czy herbatę i zasiadaliśmy na czym było można, lustrując przy okazji drukujące się akurat książki i gotowe już egzemplarze. Wtedy też wymienialiśmy nowości, układali plany, snuli marzenia.



Czesław Bednarczyk, fot.
Katedra Edytorstwa i Nauk
Pomocniczych UJ.

Za małe pieniądze drukowałem w ich oficynie tomik poezji „Powikłane ścieżki”, a także wybór prozy poetyckiej Hiszpana, noblisty, Juana Ramóna Jiménez, „Srebroń i ja”. Zygmunt Turkiewicz wybrał się do Irlandii, by napatrzyć się i narysować dla książki osiołki. Tekst był bardzo liryczny i piękny, a autor nagrodzonym poetą, dlatego druk był szczególnie wypielegnowany i czterokolorowy, co wtedy oznaczało czterokrotne przepuszczenie przez maszyny i czyszczenie wałków z farby. Ponieważ tytułowy osiołek nazywał się „Srebroń”, więc nagłówek i łeb protagonisty drukowane były srebrną farbą. Powstała śliczna książeczka, jedna z piękniejszych pośród gustownie wydawanych tomików, które wyszły spod prasy „Oficyny Poetów”.

Z tą pozycją wiąże się moje nierozważne pociągnięcie, kiedy to chcąc poprawić kilka błędów i dostarczyć tekstu już wyczerpanego, nieumiejętnie książeczkę powieliłem w Kanadzie. Ponieważ wprowadziłem drobne zmiany w tekście, trzeba było wydanie opatrzyć innym numerem. Dość, że powielone egzemplarze wypadły bardzo niekorzystnie. Kiedy Krystyna Bednarczyk je zobaczyła, nakazała je wycofać i mocno mnie zbeształa. Dopiero wydanie całości tekstu (trzy razy dłuższego) dwujęzyczne we Wrocławiu salwowało sprawę hiszpańskiego arcydzieła.

Krewkości Krystyny Bednarczyk doświadczyłem uprzednio w latach redagowania miesięcznika „Kontynenty”, drukowanego przez jakiś czas u nich. Jego kolorowa okładka zmieniała się w zależności od posiadanych przez drukarnię na składzie papierów i kartonów. Raz umówiliśmy się, że będzie czerwona. Przeświadczony o tym pojechałem po pracy do drukarni i , o zgrozo, zamiast spodziewanej okładki czerwonej, zobaczyłem zieloną. Nim się zreflektowałem, nieopatrznie wypowiedziałem słowo zdziwienia „zielona?” To wystarczyło, by Krystyna, która widocznie miała trudny dzień, ucałując mnie za kołnierz, wyprowadziła z drukarni.

Bednarczykowie zapisali piękną kartę wydając przez czternaście lat dużego formatu zeszyty kwartalnika „Oficyna Poetów i Malarzy” w imponującej szacie graficznej. Wyszło ich w sumie

57. Bez wątpienia okazały to był periodyk, który stwarzał możliwości publikacji ambitnym pisarzom i plastykom z emigracji i z kraju.

Aczkolwiek raz po raz drukowałem w nim różne teksty, nie wykorzystałem należycie oferty. Obowiązki zawodowe i przeniesienie się do Kanady nie pozwoliły na pełny udział. Tym niemniej zdołałem wydrukować kilka poważniejszych prac, w tym przekład dwuaktowej komedii Federico Garcii Lorci, sztukę Argentyńczyka Osvalda Draguna, esej T.S. Eliota, opowiadania J.L.Borgesa oraz psalmy Ernesta Cardenala oprócz wierszy i recenzji. Na łamach „Oficyny” ukazały się po raz pierwszy przewrotne bajki Gwatemalczyka, Augusta Monterroso. Pamiętam też, że raz posłałem przekłady wierszy dwu kanadyjskich poetów, z którymi pracowałem w głównym, neogotyckim budynku uniwersyteckim o pięknej kwadratowej wieży, w London, Ontario. Jednym z nich był anglista James Reaney, dramaturg i poeta, drugim, młody asystent na anglistyce, poeta i filmowiec, który później dopiero miał zasłynąć jako wspaniały powieściopisarz, Michael Ondaatje. Jego wiersz w „Oficynie” z pewnością był jego polskim debiutem. Nie doszedł natomiast do skutku sugerowany w jednym z listów tom przekładów poezji Louisa Dudka, poety kanadyjskiego polskiego pochodzenia, którego poznałem w Montrealu w 1971 roku.

Kiedy w latach sześćdziesiątych zamykał się miesięcznik młodych

„Kontynenty”, mógł być znaleźć kontynuatora w Czesławie Bednarczyku, ale miał on własne plany i ambicje hołubione od wielu lat. Mógł też czuć do młodych pisarzy pewne rozczarowanie, a nawet żal, że wobec starszych kolegów nie wykazywali należnego entuzjazmu czy pietyzmu, że nie inspirowała ich twórczość średniego pokolenia poetów, którzy na emigracji pozostali bez własnej platformy i rzeczników. Młodzi wprawdzie głosili także obcość poezji skamandrytów, nie opowiadali się też zbyt ciepło po stronie awangardy, ale równocześnie nie doceniali osiągnięć poetów średniego pokolenia, nie brali ich sobie za wzór, a zerkanie na równieśników w Polsce nie mogło się podobać.

W swoich wspomnieniach zatytułowanych „W podmostowej arkadzie” Bednarczyk oceniając krytycznie londyńską scenę nie pominął grupy młodych poetów skupionych przy piśmie „Merkuriusz Polski” a potem „Kontynenty”. Wyszliśmy w porównaniu z innymi, myślę, dość obronną ręką.

Nie zabierając głosu w imieniu wszystkich, sądzę, że wymienione w książce nazwiska naszych domniemanych wzorców wybrane zostały dość arbitralnie. Jerzego Niemojowskiego szanowałem za obsesyjną wręcz dedykację rzemiosłu poetyckiemu. Znalazł czas, by go w zupełności poświęcić pisarstwu i skupić się na swoim warsztacie. Tego tylko zazdrościć. Natomiast nigdy nie był mi wzorem czy mistrzem, jego utworów nie znałem dostatecznie, nie

były w moim stylu. Podobnie mogę powiedzieć o Janie Brzękowskim. Nie spotykałem się z nim, nie korespondowałem, nie znałem jego wierszy. Tadeusza Sułkowskiego konsultowałem w sprawie przekładu prozy poetyckiej Jiménezza, jego poezję znałem i ceniłem, ale nie brałem wzoru. Zawsze mnie pociągała poezja Miłosza, wdzięczny byłem, że zechciał do nas przyjechać dwa razy. Zwróciłem się do niego z prośbą o współpracę i otrzymałem odeń tekst, który potem moi koledzy krytycznie roztrząsali. To wszystko. T.S. Eliota znałem jako tako, nie byłem weń zapatrzony. To, co pisze Bednarczyk o wpływach tych ludzi na naszą poezję, mnie raczej nie dotyczy.



Od lewej: Czesław Bednarczyl i Jan Darowski w
Drukarni pod Arkadą, fot. arch. F. Śmieji.

Już w 1966 roku Czesław Bednarczyk omawiając antologię wierszy „Ryby na piasku” napomknął:

Ma rację, wydaje mi się, Wacław Iwaniuk twierdząc, że grupa Kontynenty... prędzej czy później doczeka się swego

historyka. Doczeka się choćby dlatego, że powstała w bardzo niecodziennych warunkach. Pamiętam doskonale nacisk gospodarzy i rodaków im pomagających kierowania młodzieży na studia techniczne, jak to się mówiło, i praktyczne. I właśnie pojawienie się grupy młodych ludzi interesujących się naszą literaturą i naukami humanistycznymi, mozolących się nad poprawną polszczyzną, piszących i ogłaszających wiersze i artykuły w „niepraktycznym” języku – musiało wzbudzić u starszych zrozumiałe zainteresowanie i dużo należytą sympatię.

...Z radosną zazdrością patrzyłem na młodych zrzeszających się w imię polskiego słowa: czytałem zawsze z przyjemnością, choć zawsze przesadzone i na wyrost, wzmianki w prasie emigracyjnej o nich.

Chętnie się z powyższym zgodzę, a nawet nie protestuję, kiedy ciągnąc dalej powiada

Łatwość druku, częste i za byle co dawane nagrody dla młodych adeptów sztuki poetyckiej tylko ich rozzuchwalało. Wieczory autorskie w kadzidlanym dymie i wzajemnych koleżeńskich pochwałach u wielu co najmniej wywoływały pobłażliwy uśmiech. Nawet Grydzewski drukował im, łamiąc zasadę, wiersze bez znaków pisarskich i wszystko małą

literą. Tego mu chyba ortodoksyjni Skamandryci nigdy nie wybaczą.

No, ale jak wcześniej powiedziałem, nie wypadliśmy w sumie tak źle. Innym się dostawało mocniej, bo życie miewa swoje nieodzowne amplitudy. Nawet Bednarczyk później zauważył:

gdy teraz spoglądam wstecz, widzę potrzebę istnienia obok siebie i pochwał i skrajnej nawet krytyki wraz z niechęcią ludzi usiłujących szkodzić.

Nie zdążył jednak, jak zamierzał, odpowiedzieć na atak kilku osób, które w „Kulturze” podpisały list w obronie domniemanie szkalowanego przez Bednarczyka Bronisława Przyłuskiego.

Nie godząc się na zarzut, ‘że prawie wszystkich nie lubi’, Bednarczyk odpowiedział w liście do „Kultury” (3/534 z 1992 roku), że to nieprawda, ale przyznał, że

Nie lubi i nie szanuje tych tylko, którzy przywłaszczyli sobie pieniądze społeczno-państwowe, którzy brali i biorą od obcych pieniądze: obojętnie od czerwonych, czarnych czy białych, nie lubi przedwojennych endeków, którzy na

emigracji udają filosemitów, nie lubi byłych komunistów udających dzisiaj ideowych patriotów, nie lubi socjalistów...

Bednarczykowie mieli piękny domek z pielęgnowanym ogródkiem, do którego uciekali po pracy spod hałaśliwego mostu. Czesław pisał rzetelne, cenione wiersze, pochodzące z dojrzałego, warsztatu, a świadczące o wyrobionym smaku autora i gustownie je wydawał. Krystyna debiutowała późno, ale zdołała uchwycić własny głos i pisała teksty, które się podobały.

Nie da się zaprzeczyć, że oboje ciężko pracowali, znajdowali od czasu do czasu wsparcie i dobrych przyjaciół, ale nie potrafili wybić się na tyle, by wolni od koniunktur miejsca i czasu, mogli byli swobodnie i na dłuższą metę wydawać pokupne książki. Ich dzieło imponuje zważywszy skromne warunki lokalowe i ludzkie. Stanowili jedną z tych witalnych części ofiarnej i patriotycznej emigracji, która już nie miała się doczekać godnych następców, gdyż była nietypowa i niepowtarzalna.

Oficyna z jej półtysięczną listą wydawnictw to pomnik wielkiego wysiłku, wprowadzie papierowy, ale trwalszy od spiżu.